№ 49. Warszawa, dnia 7 Grudnia (25 Listopada) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

OD REDAKCYI.

Przed końcem roku poruszamy znowu nasz dzwonek, nawołujący przyjaciół **Prawdy** *do równie życzliwego nadal, jak dotąd, poparcia jej. Wystawiać im tego, co dla nas jest świętem, nie będziemy, bo związek nasz z abonentami trwa już od lat dziewięciu i ujawnił zasady Redakcyi o tyle, o ile to dla niej było możliwem. A jeżeli nawet w ujawnieniu tem pozostały niezależne od nas braki, to z drugiej strony zarówno pismo nasze, jak my w niem mamy już dość wyraźne stanowisko, którego przednoworoczną lampką oświetlać nie potrzeba. I ci, co blizko, i ci, co daleko od nas stoją, wiedzą, kim jesteśmy i do czego dążymy.*

W ostatnich latach, nie zdejmując uwagi ze spraw swojskich, staraliśmy się otworzyć czytelnikom naszym szeroki widok na zadania ogólno-ludzkie, i sądzimy, że pod względem szybkości i dokładności odzwierciadlania rozwoju życia umysłowego Europy, żadne pismo polskie **Prawdy** *nie przewyższyło. To łączenie postępu naszego z postępem innych narodów cywilizowanych będzie i nadal przedmiotem naszych starań.*

Może nigdy bardziej, jak teraz, społeczeństwo nasze przy wyborze organów dla swej myśli nie miało do rozstrzygnięcia: czy uznaje ruchy wsteczne, cofające ogół nieraz aż do barbarzyństwa, czy też pragnie prądów świeżych, odżywczych, ku przyszłości biegnących? Nad tem pytaniem każdy obywatel kraju winien się zastanowić bardzo poważnie.

Prawda w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową postacią i na dotychczasowych warunkach. Prosimy o nadsyłanie przedpłaty **wcześnie** i o ile można do Administracyi naszej **bezpośrednio**.

POLITYKA.

NOWOHUSYTYZM.

Z zupełną słusznością rzec można, że młodo-czesi więcej tryumfów zawdzięczają błędom swoich przeciwników, niż przymiotom własnym. Trzeba im tylko przyznać, że umieją te błędy wyzyskiwać zręcznie, śmiało, niezmordowanie i... zawzięcie. Ostatni nierostropny krok staro-czechów jest może najkorzystniejszy dla drużyny Gregra. Jak wspomnieliśmy, przy obradach nad tablicami pamiątkowemi dla muzeum praskiego, gdy wymówiono imię Hussa, książę Schwarzenberg, młokos zapalczywy a nierozważny, wystąpił gwałtownie przeciw słynnemu męczennikowi a jego współwyznawców nazwał bandą opryszków i nicponiów. Gdyby staro-czesi, do których ten głupowaty rycerz należy, chcieli byli popełnić samobójstwo polityczne, nie potrzebowaliby zrobić nic gorszego. Postaci Hussa już sama śmierć zawiesiła nad głową nimbus nawet w oczach tych czechów, którzy z przekonania lub polityki są papistami. Bo nie był on jedynie reformatorem religijnym, ale także obrońcą i przyjacielem ludu, który w jego ojczyźnie stanowi rdzeń narodu, a nadto wrogiem niemców. Cokolwiek tedy czesi dziś wyznają, zawsze widzą w Hussie bohatera, opromienionego sławą i godnego czci powszechnej. Sam Rieger, chociaż ze względów praktycznych co innego głosi, jest w głębi serca hussytą a w każdym razie podziela uczucia wielbicieli męczennika. Zaiste trzeba mieć mózg i serce zwyrodniałe, ażeby pluć na bohatera, który życie swe poświęcił idei i za nią zginął na stosie. Łatwo też można sobie wyobrazić, jaki huragan zgrozy zerwał się już nietylko w sejmie, ale w całym narodzie przeciwko Schwarzenbergowi i jak skwapliwie młodo-czesi chwycili tę sposobność dla zadania śmiertelnych ciosów starym. I od kogoż to — pytają *Narodni listy* — spotkała naród zniewaga? „Od owej szlachty, której przebaczyliśmy całą nieczułość, jaką ona okazywała naszym pragnieniom, dążeniom i walkom narodowym; od owej szlachty, która obojętnie przypatrywała się, jak czeski robotnik, czeski rzemieślnik, czeski włościanin krajcarami zbierali środki potrzebne dla życia narodowego i kulturalnego; od owej szlachty, która na przywrócenie władzy świeckiej papieżowi ofiarowała tysiące, a dla przywrócenia swobody narodu czeskiego, dla dźwignięcia jego literatury i sztuki nic zrobiła nic godnego wzmianki. Z Hiobową cierpliwością przyjmował lud czeski tę obojętność w nadziei, że kiedyś, gdy śród tej szlachty wzrosną nowe pokolenia, będzie lepiej. Z dziecinną radością zaznaczano każde poprawnie wymówione słowo czeskie, które ten lub ów szlachcic historyczny uronił." I oto teraz ci panowie pozwalają sobie lżyć publicznie największego bohatera dziejów czeskich. Na tę skargę naród znaczną większością odpowiedział oburzeniem przeciwko zniewadze i hołdem dla męczennika. A gdy kując żelazo, póki gorące, młodo-czesi podali myśl uczczenia Hussa pomnikiem, popłynęły składki obfitym potokiem. Cały ten wylew zgrozy i zapału nie ustanie prędko a podmyje przedewszystkiem grunt staro-czechom. Szlachta bowiem czeska jest niemal wyłącznie niemiecką, w jej więc odmienności szczepowej, przy obecnem zaostrzeniu się stosunków narodowościowych, wzniecony prąd czerpać będzie siłę i trwałość. Ale szlachta ta ma swoje stanowiska sejmowe zapewnione statutem i o łaski wyborców dbać nie potrzebuje; zjednywać je muszą tylko po za nią stojący staro-czesi, których ona popiera i którzy z nią tworzą wspólny obóz. Po ostatnim a tak lekkomyślnie spowodowanym wybuchu obrażonych uczuć, drużyna

Riegera znalazła się nad przepaścią, której łatwo nie przeskoczy a rzucić się w nią jeszcze nie chce. Czy zaś zbuduje jakiś most?

W jednym z dzienników Rieger skarcił ks. Schwarzenberga i —chociaż ostrożnie— stanął po stronie czcicieli Hussa. Ale młodo-czesi nie należą do tych dusz dobrotliwych, które unoszą się wspaniałomyślnością i pozwalają przeciwnikom powstać, gdy upadli: owszem, siadają im na piersiach, przywalają kamieniami i dźwigającym się podstawiają nogi. Więc w dalszym ciągu czynią starych odpowiedzialnymi za obrazę bohatera narodowego i obrzydzają ich społeczeństwu. Zresztą gdy już zgromadzą się potrzebne fundusze, gdy pomnik dla Hussa stanie — jak wobec niego zachowa się Rieger, który chce być jednocześnie czechem, niemcem, demokratą, szlachcicem, papistą i husytą? Kameleonizm zawiedzie, bo przeciwnicy będą parli na stanowisko wyraźne, zdecydowane. A stanowisko takie zająć można tylko albo utratą popularności, albo przejściem pod chorągiew Gregra. Tę ostatnią drogę wybrali już niektórzy staro-czesi, którzy zawiązawszy konfederacyę w swym obozie, osłabiły go wewnątrz.

Po raz drugi więc husytyzm rozdziera Czechy i po raz drugi niesie w swem łonie ważne następstwa, które sięgną po za grunt miejscowy i oddziałają na cały ustrój monarchii. Każde bowiem zwycięztwo młodoczechów jest wstrząśnieniem Austryi, która obecnie jest zagrożoną we wszystkich swych częściach i spojeniach procesem rozkładu. Nie mylmy się w ocenie wagi wypadków: starcia w Izbie węgierskiej, emancypacyjne ruchy kroatów i dalmatów, wojna młodych ze starymi w Czechach — to nie kłótnie osobiste i miejscowe, to nie pożary, które straż ogniowa rządowa łatwo pogasi, to łamanie się i walenie państwa, które musi zapobiedz ruinie bardzo poważnym ratunkiem.

Z PARLAMENTU WĘGIERSKIEGO.

Juś zeszłoroczne obrady parlamentu węgierskiego wykazały dosadnie, co obecnie jasno wypowiedziała opozycya: że stronnictwo mniejszości walczy przedewszystkiem, głównie, wyłącznie niemal — z osobą obecnego prezesa gabinetu, z Kolomanem Tiszą. Zaczęto łagodnem uderzeniem w dzwony pogrzebowe; a kiedy sędziwy mąż stanu, sterany, lecz o wielkich jeszcze myślący zamiarach, nie położył się do trumny grzecznie mu zaofiarowanej i przerwał pochód konduktu, urządzonego wbrew jego woli, zwrócono się przeciw niemu w walce jawnej, atakowano go w parlamencie jako polityka i jako człowieka prywatnego, a na ulicy zagrażano mu osobiście. Lecz Tisza nie ustraszył się ani podejrzeń nań rzuconych, ani kamieni druzgocących jego karetę. Z rozpoczęciem nowej kampanii parlamentarnej chwyciła się tedy opozycya nowego systemu walki: taktyka jej zmierza do tego, by wprowadzić Tiszę w starcia, któreby go zmusiły do ustąpienia z naczelnego w kraju stanowiska. Awantura z chorągwią austryacką w Monorze dała pierwszą ku temu sposobność; atoli Tisza zwycięzko wyszedł z tej sprawy, zaspakajając rozpalony szowinizm armii i ludu urzeczywistnieniem dawnego życzenia, słóweczkiem „i" pomiędzy urzędowemi literami c.—k. Opozycya konceptu nie straciła: zaczęto w prasie i w parlamencie uznawać pozornie zasługi gabinetu Tiszy, a nawet chwalić zasługi niektórych członków; zwłaszcza podnoszono działalność ministra finansów Wekerlego, przypisując jemu całą chwałę uporządkowania węgierskich stosunków państwowych — a tem samem odmawiając jej Tiszy, i siejąc niezgodę pomiędzy gabinetem a jego głową. Taktyka ta znalazła odprawę energiczną ze strony ministra Wekerlego. Oświadczył on, że nadzieja poróżnienia ministrów z ich prezesem jest płonną, gdyż łączy ich solidarność zupełna; że powodzenie polityki finansowej Węgier zawdzięczać należy głównie działalności Tiszy i że on też podjął reformę administracyi i sądownictwa. Nie udała się więc i ta spekulacya na słabości ludzkie. Wówczas wystąpiła opozycya z bronią najcięższego kalibru, wystrzeliła bombę, przechowywaną aż do chwili krytycznej, bombę, która według jej mniemania rozsadzić miała gabinet, a Tiszę uczynić znienawidzonym w Węgrzech człowiekiem, dlatego, że zmusiłaby go do wystąpienia przeciw najpopularniejszemu: przeciw Kossutowi. Daniel Iranyi, sędziwy członek opozycyi, w mowie nieco namiętnej, lecz skończenie pięknej, wniósł uchwalenie specyalnej ustawy, któraby, w sprzeczności z istniejącem prawem państwowem, pozwoliła Kossutowi powrócić do ojczyzny. Przedstawiał on zasługi tego „ojca Węgier" i cierpienia jego na wygnaniu: mowa ta wywarła wrażenie a prawica była w kłopocie niemałym. Lecz nigdy może talent parlamentarny Tiszy nie wystąpił tak świetnie, jak w odpowiedzi, danej opozycyi. Dowiódł on, że prawo węgierskie powrót wygnańców czyni zależnym od ich woli; skoro oni oświadczą, iż pragną pozostać obywatelami węgierskimi — w takim razie być nimi nie przestają. Kossut, przyjmując obywatelstwo honorowe, zaofiarowane mu przez parę miast, dowiódł tej woli. Wobec tego, rząd uważa go za obywatela węgierskiego, ustawa specyalna uchwaloną być nie potrzebuje; skoro zaś lewica jako obywatela węgierskiego uznać go niechce — Tisza pomódz jej nie może.

Zdawałoby się, że ataki te, dowcipnie obmyślane, lecz nie mniej dowcipnie odparte, wyczerpały na razie arsenał opozycyi. Bo oto, wracając do dawnego punktu wyjścia, proponuje ona Tiszy, ażeby—przecież ustąpił. Prezydent ministrów — powiada poseł Beöthy — jest człowiekiem bardzo zasłużonym, lecz dlaczego utożsamia dobro kraju ze stanowiskiem własnem? Powinien zrozumieć, iż brak mu już siły do kierowania sprawami państwa. Hr. Apponyi zaś bardziej szczegółowo uzasadnił obowiązek ustąpienia Tiszy. Wobec tego, że w obradach nad ustawą wojskową Tisza zmuszony był przyjąć pewien paragraf o sformułowaniu opozycyi, poniósł on porażkę. Zwyczaj parlamentarny każe mu tedy ustąpić. Czyli mówiąc inaczej: nie mogąc obalić Tiszy dlatego, że nie postępuje według woli opozycyi, mniejszość chce obalić go dlatego, że spełnił jej życzenie. Prawdziwie, takiego konstytucyonalizmu węgrom zazdrościć nie potrzeba. Sposób, w jaki opozycya zachowuje się w parlamencie, szacunku dla niej wzbudzić nie może; lecz i pobudki i żywioły najpotężniejsze w jej łonie czynią ją stronnictwem groźnem dla przyszłości Węgier. O ile uznać należy tendencyę konsekwentnego wydoskonalenia ustroju autonomicznego, o tyle na pewno powiedzieć można, że Apponyi lub ktoś z jego rzeszy nie przedstawia rękojmi, iż pokierowaliby państwem w tym duchu. Owszem, obecny system parlamentarno-konstytucyonalny krępuje tych panów, nakładając ambicyi ich pęta. Systemu tego w demokratycznem jego zabarwieniu strzeże czujnie Koloman Tisza — i oto powód, dlaczego właściwym programem opozycyi jest obalenie tego ministra.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od dość dawnego już czasu życie polityczne Europy nie może się zdobyć na żaden wypadek donioślejszy. Tylko stare, zardzewiałe, zdezelowane maszyny co chwila ustają, ale naprawione pośpiesznie, odbywają dalej swój ruch. Smutnem urozmaiceniem jednostajności są tylko skandale, wyprawiane w sejmach ministrom znienawidzonym. Pierwsze miejsce pod tym względem zajmują węgrzy, którzy podobno chcieli nawet zgładzić Tiszę, ale uknuty zamach na jego życie z jakichś powodów nie przyszedł do skutku. Jak dalece ta sprawa, czy też wogóle tego rodzaju sprawy są dla madziarów czemś niewinnem, świadczy pomieszczony w jednej z gazet peszteńskich list bezimiennego uczestnika w zakładaniu morderczej miny, który opowiada szczegółowo, co przygotowano dla zabicia Tiszy. Albo to jest farsa, albo węgrzy są dziwnie wyrozumiali.

Minister Dunajewski jest mistrzem w układaniu pomyślnego budżetu: zawsze wykazuje przewyżkę dochodów nad wydatkami, ale jednocześnie ruchem czarodziejskim sprawia, że ona topnieje i niknie w jakiejś nowej potrzebie. Taką sztukę czarodziejską wykonywa corocznie — wykonał ją z powodzeniem i teraz. Budżet austryacki ma przewyżkę, ale... już jej niema.

To nie rachunek amerykański. Gdy tam wykazano, że przewyżka dochodów wynosi 57 milionów dolarów, to rzeczywiście skarb ma 57 mil. dol., z którymi — szczerze mówiąc — nawet nie wie, co zrobić. Prawdopodobnie wybuduje sobie za nie kilka nowych pancerników.

O jakże by pragnął takiego kłopotu Crispi, który przedstawił Izbie nietylko kieszeń państwa pustą, ale i dziurawą, przez którą przelatywać będą wszystkie dochody, jak woda przez sito. W rosnących długach skarbu i rosnącej nędzy narodu coraz bardziej uwydatnia się bezmyślność wielkiej polityki Crispiego, który utrzyma sobie „przyjaciela" w Friedrichsruhe, ale zrujnuje kraj. Król Humbert otworzył posiedzenia parlamentu mową tronową, w której między innemi powiedział: „Pokój zdaje się dziś bardziej niż kiedykolwiek zapewnionym Europie, dzięki radom wielkich mocarstw, za sprawą moją i moich sprzymierzeńców." Ach, ileż ten frazes już kosztuje i kosztować będzie Włochy!

Niemcy mordują się dalej z ustawą przeciwko socyalistom. Narodowo-liberalni udają opozycyę, a tajemnie wysyłają ciągle do kanclerza na zwiady, ile im na nieposłuszeństwo pozwoli. On tymczasem siedzi we Friedrichsruhe i hypnotyzuje narodowo-liberalne wiewiórki milczeniem. A cesarz ciągle jeździ. Niedawno polował na Sządku. Otóż okoliczni obywatele ziemscy—jak donosi *Schles. Ztng*—stawili się sami do naganki i chwytali na pamiątkę wystrzelone gilzy monarchy; niektórzy zaś obcinali w tym celu skoki lub ogony zabitej przez niego zwierzyny.

Ku wielkiemu zdumieniu całej Europy nowa Izba francuska sprawia się cicho. Wszczęła maleńki spór z rządem o zapałki, ale nie podpaliła niemi swych namiętności. Czyżby epoka jej skandalów minęła? Trudno uwierzyć.

Przemiana cesarstwa na rzeczpospolitę w Brazylii odbywa się spokojnie i ciągle. Don Pedro przypłynął już do Europy i podobno w bardzo dobrym humorze:

Porta przygotowała amnestyę i ulgi dla kreteńczyków, ale zwłóczy z ogłoszeniem ich. Pobudzi ją jednak Gladstone, który — jak wiadomo — pierwszy zawiesił tę sprawę u wielkiego dzwonu a teraz coraz śmielej uderza na obecny rząd, pobłażliwy dla Turcyi.

Proces *Timesa* z Parnelem, pochłonąwszy olbrzymie sumy, zakończono. Wyrok dotąd

nie ogłoszony, ale niewątpliwie godnym będzie całej procedury.

Właściciel fabryki w Amsterdamie, patroszącej stare naboje, która sprawiła tak straszne zniszczenie i zabiła tylu ludzi, został skazany na kilkomiesięczne więzienie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WŚRÓD TEGOCZESNEJ FALI SPOŁECZNEJ.

III. *Instytucye patronalne.*

Wykazaliśmy, że fabryka, tj. oparte na maszynie przedsiębiorstwo wytwarzające, jest kryształem, około którego osadzają się nowe stosunki, zagadnienia i dążenia. Nie od rzeczy byłoby zbadać, chociażby w zarysach najogólniejszych, jak władca owych nowoczesnych metod produkcyjnych zapatruje się na wywołane objawy rozkładu, nędzy i niepewności, jakie podaje środki dla zażegnania zła, wreszcie jak dalece zaprowadzane przezeń urządzenia są organizowaniem społeczności według nowych wzorów prawno-politycznych. Naturalnie w tym razie nie chodzi nam o szermierkę słowną i kazuistykę, którą wysnuwa płatny rzecznik interesów kapitalistycznych, mieszczański polityko-ekonomista, ani też o leki przezeń podawane. Przeciwnie, mamy na myśli jedynie nieznaczną garstkę wrażliwych natur w skórze bezpośrednich pracodawców, które wzruszają się uczuciowo na widok powstającego obrazu i dążą w imię uczuć ludzkich z pomocą i wsparciem. Są to nasi Staszyce i twórcy drobnych rzeczypospolitych chłopskich z końca przeszłego i początków obecnego wieku, przesadzeni na inny grunt dziejowo-ekonomiczny. Zatrzymanie się bliższe nad tego rodzaju postaciami z żywem uczuciem humanitarnem i dość silną wrażliwością dla zagadnień społecznych pozwoliłoby nam rozwiązać jeszcze inne pytanie socyologiczno-psychiczne, mianowicie, w jakim stopniu najlepsze nawet jednostki, kiedy raz staną na kapitalistycznym widnokręgu działawczym, padają ofiarą swego położenia i przesiąkają odpowiedniemi dążnościami klasowemi. Hygiena zawodowa zajmuje się chorobami i kalectwami fizycznemi, wywołanemi przez rozmaite zajęcia; postawiona kwestya byłaby pokrewną próbą zbadania, jak dalece umysłowość ludzka doznaje skoszlawienia od wpływów materyalnego podścieliska klasowego. Sprawą tą jednakże zajmiemy się otyle, o ile nastręczy się ona przy rozbiorze innych pytań; obecnie zaś poprzestaniemy na wypowiedzianej uwadze i zwrócimy się do przerwanego wątku. Rzekliśmy, że liczba Staszicòw ustroju fabrycznego jest nieznaczna. Teraz należałoby udowodnić, że dalszy rozwój kapitalizmu skazuje, jeśli chodzi o samo żywe współczucie (lecz nie o niesioną pomoc) i to grono na zagładę lub wpycha raczej na odmienne tory. Podobne nieco zjawisko widzieliśmy w gospodarczo feudalnej Francyi z końca przeszłego wieku. U Taine'a znajdujemy następującą sielankę z owego czasu. Pan odwiedza swoich zagrodników, rozmawia z nimi o ich sprawach, współczuje z nieszczęściami, które narażają jego i ich na szkody; chodzi na wesela ich dzieci, pije z biesiadnikami; w niedzielę tańcują oni na dziedzińcu zamkowym, a panie biorą udział w zabawie. Naturalnie obrazek ten z góry każe przypuszczać jedno, mianowicie, że pan feudalny nie należy do szlachty dworskiej, która nie zna czasami swoich majątków, lecz że jeszcze własnoręcznie gospodaruje. Szlachcic dworski mógł walczyć przeciw uciskowi feudalnemu, gospodarujący mu sprzyjać, lecz o żywe i doraźne współczucie względem jednostki poddańczej łatwiej było u ostatniego. Podobnie dzieje się w fabryce. Wielki kapitał, prawie zawsze zbiorowo akcyjny, ogarnia coraz więcej przedsiębiorstw. Właściciel zbiorowy nigdy nie widuje zbliska swojego personelu roboczego, niektórzy zaś pojedynczy akcyonaryusze zaledwie często wiedzą, w jakim okręgu leży przedsiębiorstwo, którego są członkami. Niepodobna tutaj mówić o współczuciu ku ludziom, których się nigdy nie oglądało, jakkolwiek sama pomoc może być większa. Inaczej rzeczy stoją, kiedy przedsiębiorca jest pojedynczy, osobiście kieruje zakładem i posiada znaczną wrażliwość i gorące serce. W ten sposób rozwój przemysłowy unicestwia te nieliczne objawy czystej filantropii, które ukazywały się od czasu do czasu. „Interes" staje się coraz bardziej rządzącą zasadą postępowania tegoczesnej „humanitarności" przedsiębiorców. Zresztą, jeśli ktoś z przykrością patrzy na tę zmianę i wzrost „suchości," to prawdopodobnie nie robotnik. Samodzielne gospodarowanie, które wyłaniało czasami ojcowską troskliwość, zwykle prowadziło do drobiazgowego wyzyskiwania rąk pracujących — według przysłowia, że pańskie oko konia tuczy...

Kolejno rozpatrzymy różne objawy filantropii i ideologii przedsiębiorców. Zaczniemy od „instytucyj patronalnych" — nazwa techniczna, obejmująca w sobie możliwe urządzenia „patrona" dla zwiększenia dobrobytu robotnika (tanie mieszkania, kasy emerytalne, różne zabezpieczenia, pomoc lekarska, ochronki, szpitale itd.), o ile nie mają na widoku żadnych bezpośrednich wyzysków w rodzaju „truck-systemu." Naturalnie, rzeczą bardzo pożądaną byłoby wskazać, zanim przystąpimy do skreślenia skutków, obfitość podobnych objawów w społeczeństwie, tem bardziej, że często można spotkać powoływanie się na podobne fakty, jako na dowód, że pracodawca (wzięty jako wyraz całej warstwy) nie jest taką pijawką, jak bywa przedstawiany. Napróżno jednak oglądaliśmy się za odpowiednim materyałem. Są jednak dane, pozwalające nam mniemać, iż w każdym kraju dałoby się wyliczyć na palcach odpowiednie zakłady. Można być pewnym, że na tegoczesnej wystawie ekonomii społecznej w Paryżu każde przedsiębiorstwo francuskie, jeśli tylko miało czem się pochwalić, chociażby rzeczą drobnej wagi, pospieszyło z wysłaniem odpowiedniego sprawozdania i sięgnięciem po nazwę dobroczyńcy. I oto w katalogu znajdujemy ogółem zaledwie 70 firm z całego kraju! Mamy też rozprawę niejakiego Vanderveldea o instytucyach patronalnych w Belgii. Wylicza on tutaj 13 zakładów, które stawia jako prawzory. Można spodziewać cię, że wybiera przykłady najwymowniejsze. Weźmiemy jeden z nich, na opis którego natrafimy, przypadkowo otwierając książkę. Są to kamieniołomnie z Quenastu. 1800 robotników. Ochronka dla drobnych dzieci (150 malców); szkółka początkowa i nauka gospodarowania dla dziewcząt. Tak zwany ekonomat, gdzie sprzedaje się produkty najniezbędniejsze po cenie kosztów. Kasa pomocy, wydająca wsparcie sierotom i wdowom, lekarstwa i zasiłki pieniężne dla chorych; robotnicy dają $2\frac{1}{2}\%$ swojego zarobku, zakład 1%. Na tem kończą się wszystkie instytucye patronalne przedsiębiorstwa! Są one bardzo nieznaczne. Wobec takiej jałowości wzoru oraz wzmianki autora, że przedstawia najfilantropijniejsze firmy, przesadzimy raczej, niż nie docenimy, jeśli liczbę zakładów, gdzie istnieje odpowiednia dobroczynność, podamy na co najwyżej pięć razy większą od przytoczonej ilości wzorów. Wtedy otrzymalibyśmy, że wśród ogółu przedsiębiorstw, zatrudniających więcej nad 100 robotników, podobne firmy stanowią w Belgii zaledwie około 9%! *). Ów więc zapał, który widzi w tego rodzaju urządzeniach rozwiązanie kwestyi społecznej, prawdopodobnie doznałby rozczarowania, gdyby zadał sobie nieco trudu i dokonał wyliczeń statystycznych. Natomiast inny fakt rzuca się w oczy z pracy Vanderveldea. Wątpliwości nie ulega, że jako wzór podał on wypadki krańcowe, bądź co do wewnętrznego urządzenia, bądź ze względu na rozmiary filantropii. Rzecz ciekawa, że w tej liczbie znalazły się przeważnie bardzo wielkie przedsiębiorstwa, przeciętnie bowiem na pojedynczy zakład przypada około 2,000 robotników, tak, iż kiedy 13 zakładów stanowi 1,9% wśród ogólnej ilości zatrudniających więcej nad 100 osób, objęty personel fabryczny wynosi jednakże już 10% odpowiedniej ludności pracującej. Przytem 60% z górą przypada na towarzystwa akcyjne! Podobnie i w katalogu wystawy mamy wśród ogólnej liczby 20% przedsiębiorstw akcyjnych—procent na pewno większy, niż ten, jaki przypada na stowarzyszenia bezimienne wśród ogółu firm przedsiębiorczych. Słowem, jest rzeczą jasną, że instytucye patronalne istnieją przedewszystkiem przy zakładach olbrzymich. Możnaby w tej mierze powołać się na doświadczenie swojskie, spostrzegamy bowiem, że zakłady Żyrardowski i Scheiblera, jedyne w kraju, gdzie podjęto szersze próby, należą równie do największych. Vandervelde czyni podobną uwagę: „Znaczne przedsiębiorstwo przemysłowe, dając zatrudnienie całej armii robotników, z natury rzeczy jest jakby domem ze szkła, gdzie wszystko znajduje się pod nieustającą kontrolą opinii publicznej. W tem tkwi główna przyczyna, która doprowadziła do powstania instytucyj patronalnych." Niemniej byłoby ciekawem wyliczenie, ile łoży zakład na podobną filantropię. Jest to jednak tak drażliwa kwestya, że trudno cokolwiek w niej wyrzec z braku materyału. Prawdopodobna jednak, że sprawozdania, ogłoszono z powodu wspomnianej wystawy przez niektóre zakłady, pochodzą właśnie od firm, gdzie ofiarność przedsiębiorców jest największa. Rozejrzyjmy się więc w wydawnictwach tych zakładów, które najdalej posunęły się w swojej hojności. Pierwsze miejsce przypada tu kopalniom węgla w Blanzy. Sprawozdanie głosi, że towarzystwo wydało przeszło milion franków na różne udogodnienia dla robotników po za zwykłą płacą w przeciągu lat 1887 i 1888, co stanowiłoby 50% dywidendy dawanej akcyonaryuszom. Szkoda, że nie podano wysokości zarobków; zauważyć też należy, że broszura bardzo hojnie gromadzi cyfry, tak np. w owej sumie pomieszcza węgiel taniej sprzedawany górnikom na opał — zjawisko, istniejące we wszystkich kopalniach, którego niepodobna uważać za jakieś szczególne dobrodziejstwo, a jednakże wynosi to 300,000 fr.! Podobnie dałyby się zmniejszyć lub odsunąć inne rubryki. Huty i kuźnie S. Dizier. Robotnicy, około 2,000 głów, pobierają 1,625 tysięcy franków tytułem płacy. Zakład wybudował 535 mieszkań, które daje darmo (?); utrzymuje szkoły dla 346 uczniów, ekonomat, gdzie po cenie kosztu sprzedaje najniezbędniejsze przedmioty (w istocie rzeczy z małym zyskiem, lecz idzie on na pomoc pieniężną fanfarze, związkowi gimnastycznemu itd. wśród robotników), zabezpiecza najmitów, zapewnia emeryturę. Niepodobna obliczyć kosztów, lecz 200,000 fr. będzie chyba zanadto posuniętą cyfrą wobec przytoczonych najgłówniejszych rubryk. W stosunku do kapitału zakładowego wynosiłoby to 2% rocznie; jeżeli zaś dywidenda równałaby się 10%, pomoc ta zmniejszyłaby ją o jedną piątą.

*) Z różnych zestawień, o których trudno tu wspominać, wynikałoby, że owe 9% należałoby sprowadzić do 5%, a nawet 3%! Zauważymy, że mimo uważnego czytania pierwiastkowo wzięliśmy wzory Vanderveldea za opis wszystkich odnośnych zakładów — fakt, że liczba modelów nie wiele przewyższa ogólną ilość.

Natomiast liczniejszy posiadamy materyał co do atmosfery moralnej, wytwarzanej w zakładzie przez instytucye patronalne. W Belgii i Francyi mamy pewną ilość przedsiębiorstw, których właściciele lub przedstawiciele należą do szerzącego się obecnie socyalizmu chrześciańskiego. Naturalnie panuje tu duch odpowiedni. „Zważywszy, że praca ma na celu nietylko zaspokojenie naszych potrzeb ziemskich, lecz powinna być ku tem większej chwale boskiej oraz zbawieniu dusz naszych, *rozkazujemy*...", można czytać na wstępie do ustawy kuźnic w Saint - Nicolas (Belgia). „Powaga pryncypała jest świętą, zesłaną przez Boga"; czytamy tamże w innym ustępie. Zakład utrzymuje swoim kosztem kapelana. Modlitwą rozpoczynają się i kończą dzienne zajęcia; spełnianie obowiązków religijnych jest przymusowe; właściciel, nim przyjmie robotnika, zbiera dane co do jego prowadzenia się i przekonań. Kobiety pracują oddzielnie i są odwiedzane codziennie przez żonę pryncypała. Dla uniknięcia spotkań z mężczyznami, rozpoczynają one swoją pracę i kończą o kwadrans wcześniej. W Belgii mamy kilka takich wzorków, liczących czasami po 1,000 osób. Wszystkie dążą do wzmocnienia powagi pryncypała przez polepszenie bytu materyalnego robotników i wzbudzenie silnego uczucia religijnego. Zwykle stosunki obustronne są dobre. W zakładach Reya w Belgii tylko 2% pracuje w fabryce czasowo, reszta, tj. 98% pozostaje na stałe. Dzięki spoidłu religijnemu pracodawca występuje jako dobroczyńca i opiekun, najmici zaś jako posłuszna i wdzięczna trzoda. Naturalnie, pierwszym ku temu warunkiem jest istnienie odpowiedniego pierwiastku wiary wśród robotników, co tylko na wielką skalę można spotkać w bardziej zapadłych okolicach. Zresztą nie zawsze idzie tutaj o zbawienie duszy... Na czele zakładów hutniczych Marcinelle i Couillet stoi człowiek znanych przekonań wolnomyślnych, a jednakże wśród pracowników (4,600 osób) przeprowadza on systematyczną tresurę religijną. Widoczna, że używającym tego środka przedewszystkiem chodzi o wzmożenie swego wpływu— nic więcej. Rzecz także godna uwagi, że tego rodzaju instytucye patronalne, owiane religijnością, istnieją przeważnie wśród przedsiębiorstw, zatrudniających mniejszą ilość rąk roboczych i prowadzonych przez pojedynczego przedsiębiorcę.

Od powyższego typu powoli przechodzimy do innych, pozostawiających większą swobodę robotnikowi w życiu prywatnem i publicznem. Pracodawca zarządza jedynie wsparciami, do których przykłada jakiś swój grosz, zakłada szkoły, wznosi mieszkania, lecz nie zmusza do spełniania różnych drobiazgowych „obowiązków." Zaczyna być postępowcem, który hypnotyzuje robotników, po za dobrodziejstwami patronalnemi, za pomocą szkoły. „Walter Seitz jest niezłomnie i stanowczo przekonany, że, ażeby pobudzić wśród warstwy robotniczej przyzwyczajenie porządku, pracy i zdrowej moralności, istnieje jeden tylko niezawodzący środek, mianowicie należy zająć się dziećmi od lat najwcześniejszych, otaczać je troskliwością póki nie wyrosną, ułatwić im następnie ożenek i prowadzić filantropię w dalszem pokoleniu." Wymieniona osoba jest właśnie fabrykantem wyrobów bawełnianych i postępuje odpowiednio do swoich przekonań, stwarzając nawet oddzielne „miasto robotnicze" swoim kosztem i w swoim parku, aby nieustannie krzesać ów porządek i zdrową moralność, któreby utrwaliły pewność zysków u pracodawcy i jednocześnie zniosłyby krnąbrność wśród najmitów... Na najwyższym szczeblu liberalizmu spoczywają instytucye patronalne w olbrzymich zakładach akcyjnych, np. kopalniach węgla w Mariemont (Belgia, 5,000 robotników). Kasy pomocy i ubezpieczenia, mimo że otrzymują stałą pomoc od zakładu, są rządzone przez samych robotników; dyrektor powołuje do życia różne stowarzyszenia spożywcze, samouctwa itd.; stworzono sądy rozjemcze, złożone w połowie z robotników, w połowie z przedstawicieli zarządu, dla załatwiania zatargów pomiędzy pracą a kapitałem. Atoli o obfitości tego rodzaju urządzeń daje pojęcie fakt, iż jest to jedyna podobnie postępująca firma w całej Belgii! Tutaj należałoby jeszcze umieścić dwa inne przykłady. Zakład w Delft (Niderlandy). Istnieje z pośród robotników rada wybieralna, która wskazuje, w czem możnaby pomódz najmitom zakładu, oraz inna, rozjemcza. Wogóle, po za familisteryami w Guise i Laeken-les-Bruxelles jest to zakład, gdzie przeprowadzono najszersze i najwolniejsze urządzenia. Fabryka oddziaływa na przekonania robotników w inny sposób — przez wydawanie specyalnego czasopisma, *Głosu fabrycznego*, co sobota. W Delgevilleu znów (Stany Zjednoczone) przedsiębiorca miewa stałe odczyty, gdzie piorunuje przeciw ośmiogodzinnemu dniu i „demagogom z wywieszonym językiem," lecz jednocześnie pozwala robotnikom u siebie wierzyć, w co im się spodoba i posuwać się aż do anarchizmu. Zauważymy, że filantropia jego dosięga bardzo wysokiego stopnia.

Rozpatrzyliśmy jedną stronę społecznej działalności przedsiębiorcy w fabryce— instytucye patronalne. Z tego szkicu możemy widzieć, że są to stosunkowo mało liczne urządzenia, które w najlepszym razie świadczą jedynie, że wśród warstwy kapitalistycznej mogą istnieć ludzie z gorętszem współczuciem, lecz bynajmniej nie dowodzą, że niedola społeczna znajdzie rozwiązanie na tej drodze. Najlepszy kapitalista jest tylko kapitalistą, tj. człowiekiem, któremu warunki społeczne narzucają określone przekonania. I oto instytucye patronalne stają się środkiem odpowiedniego hypnotyzowania tłumów pracujących — nie ku większej chwale boskiej chociażby pósługiwały się religią, lecz w kierunku lepszego „interesu." Między innemi mieliśmy na myśli ten objaw, kiedy mówiliśmy o skoszlawianiu przez warunki kapitalistyczne „duszy" Staszicow fabryki. Przyjrzymy się temu zbliska, jako też zachowaniu się najmitów względem urządzeń patronalnych, lecz poprzednio jeszcze zatrzymamy się nad tak zwanemi towarzystwami udziałowemi.

K. R. Żywicki.

TYTUS CHAŁUBIŃSKI.

(Jako profesor i lekarz).

II.

Jeśli zaburzenia chorobne są tego rodzaju, że mogą się wyrównać przy pomocy samych sił regulujących, to lepiej żadnych środków nie stosować i ograniczyć się tylko do przepisów hygienicznych i dyetetycznych. Przy stosowaniu ich leczący winien pamiętać, że każdy środek musi wywoływać w ustroju szereg nowych zjawisk i zaburzeń w sposób fizyczno-chemiczny, oraz zwracać uwagę, czy stan narządów i ich czynności na to pozwala. Wszystkie wpływy powinny być wyzyskane tylko w kierunku użytecznym dla chorego. Jeśli do zdrowia nie wraca, badać go ponownie, starając się zapomnieć o wynikach pierwszego badania. Wszędzie i zawsze Chałubiński przyzwyczajał do wyrobienia pojęć ogólnych na podstawie ścisłego zdawania sobie sprawy z każdego szczegółu choroby i do podciągnięcia faktów pod ogólne prawo. Nigdy nie narzucał swych poglądów, ale starał się przekonać. Potrafił nietylko nauczać, ale i budzić zamiłowanie do przedmiotu. Każdy ze słuchaczów, nawet bez wybitnych zdolności, przy pracy wielkie odnosił korzyści. Dla zrozumienia jednak Chałubińskiego trzeba było wielkiego przygotowania i znajomości teoretycznych nauk lekarskich. Wykłady jego były świetne. Genialność ukazywała się w całej potędze; miewał on częstokroć chwile natchnienia, piękne błękitne oczy nabierały szczególnego blasku, a oblicze zmieniało swój wyraz. Wówczas myśli krystalizowały się w formę znakomitych aforyzmów, które w słuchaczach robiły niezatarte wrażenie. Wygłaszał prawdy, które później dopiero zostały stwierdzone przez naukę, a wiele z nich pozostaje do stwierdzenia. Jak paleontolog z zęba lub szczątków szkieletu może odtworzyć kopalnego ssaka, tak Chałubiński z nieznacznego objawu odgadywał wszystkie zaburzenia chorobne w ustroju. Krytyka jego w czasie wielkiego uniesienia przyjmowała niekiedy ostrzejszy charakter. Raz mówiąc o żywieniu chorych w gorączce, którym w Niemczech zalecano obfite pokarmy, wyrzekł: „Potrzeba zwichnienia władz umysłowych, aby utrzymywać, że ponieważ w gorączce chory jest osłabiony, więc trzeba karmić go obficie i posilnie." Wogóle wykłady jego były raczej filozofią medycyny, aniżeli lekcyami patologii szczegółowej, jak to ma miejsce w uniwersytetach zagranicznych.

Od najdawniejszych czasów, chociaż zmiana w poglądach na istotę chorób pociągała za sobą zmianę w sposobach leczenia, to jednak medycyna praktyczna trzymała się zasad i środków wiekami ustalonych. Tak było aż do pierwszej połowy naszego stulecia. Na zgliszczach starej empiryczno-symptomatologicznej powstała anatomo-patologiczna. Lekarze zwątpili o możności zapobieżenia i wyrównania zmian anatomicznych, materyalnych, w tkankach ustroju, a tem samem o pożytku i potrzebie wszelkiego leczenia. Terapia runęła i nastały dla niej czasy sceptycyzmu i nihilizmu. Spostrzeganie przebiegu choroby i wyczekiwanie z założonemi rękami uchodziło jedynie za umiejętność przy łóżku chorego Nauka z tego nieleczenia odniosła tę korzyść, żeśmy poznali naturalny przebieg chorób, ludzkość jednak zostawiona była na łaskę losu i pozbawiona pomocy. Kiedy nareszcie trzeba było leczyć, stworzono metodę wyczekująco - symptomatyczną, która przetrwała aż do naszych czasów. Nie mogąc skrócić, ani zmienić przebiegu choroby, starano się pokonywać tylko objawy. Oryginalny, samodzielny, niezależny od żadnej rutyny i szkoły, Chałubiński zwalczał u nas metodę symptomatyczną tak w klinice, jak i w praktyce prywatnej, przeciwstawiając swoją racyonalną: „Każde pokolenie ma nietylko prawo — mówił on — ale i obowiązek poddać krytyce zdobycze naukowe poprzednich pokoleń, ale żadna szkoła nie ma prawa dogmatyzować nauk w jakimkolwiek kierunku." Ziarno przez niego rzucone wydało obfite plony. Lekarze nasi nie przywykli przysięgać *in verba magistri*, o wiele przewyższali praktyków zagranicznych, przepisujących recepty z podręczników swoich nauczycieli. Orbita ludzkiej myśli jest, jak orbity planet, ograniczoną przez siły przeciwne. Siła odśrodkowa, rewulucyjna wyrzuca nowe idee, podczas gdy wędzidło zwyczaju działa jako siła dośrodkowa — konserwatywna. Wypadkowa tych wysiłków przeciwnych jest drogą, po której dokonywa się rozwój umysłowości. Już po ustąpieniu Chałubińskiego ze stanowiska profesorskiego, na polu patologii zaczął się dokonywać przewrót nowy i gwałtowny. Istotą choroby mają być nie zmiany anatomiczne w tkankach ustroju, lecz przyczyny zmianę tę wywołujące. Przyczynę tę w chorobach zakaźnych w znacznej liczbie już wykryto. Jestto dzisiejszy okres patologii bakteryologiczno-przyczynowy. Czyżby terapia nie miała z dokonywających się odkryć skorzystać? Jeśli przyczyną są niższe drobno-ustroje, to szukać należy środków, które by mogły je

tępić; z ustaniem przyczyny ustąpi i skutek. Przy takiem rozumowaniu rodzi się *metoda specyficzna* a z nią nowe zamieszanie pojęć przy leczeniu. Przypomniano sobie, że przecież już w ten sposób oddawna tępimy robaki kiszkowe, pasorzyty skórne itd. Nie przecząc, iż wynalezienie środków specyficznych jest możebnem w przyszłości, musimy zaznaczyć fakt, że żaden pasorzyt nie rozwinie się tam, gdzie nie znajduje przyjaznych warunków, tak jak drzewo zdrowe nie pokryje się mchem lub pszenica nie wyrośnie na jałowym piasku; że żaden chory nie wyzdrowiał dzięki środkom specyficznym, ale że sam ustrój wzmógłszy się na siłach, uniemożliwił rozwój mikrobów. Najcięższa choroba—gruźlica przecież ustępuje niekiedy bez lekarstw specyficznych, jeśli chorego postawimy w jaknajkorzystniejszych warunkach, gdy tymczasem obfite dawanie środków przeciwgnilnych nie prowadzi do celu, jeśli ustrój przedstawia korzystne podłoże dla rozwoju lasecznika. Napróżno zwolennicy nowej teoryi a właściwie odgrzanej, głoszą, że nauka zna już środki specyficzne: chininę przeciw zimnicy, rtęć przeciw przymiotowi, kwas salicylowy przeciw reumatyzmowi i kalomel dany w początkach przeciw tyfusowi. Zarazki tych chorób, jakkolwiek mamy prawo ich się domyślać, napewno nie zostały zbadane, tak jak np. lasecznik gruźlicy lub zarazek karbunkułu i tyle innych. Dalej wiadomo, że działanie tych środków da się wytłomaczyć i na innej drodze — czego dowodzić tu nie możemy. Leczenie wścieklizny także nie może tu być brane w rachunek, gdyż zarażek nie został wykryty, a kto wie, czy wścieklizna nie jest trucizną organiczną, mającą powinowactwo z tkanką nerwową, którą zatruwa. Jak dotąd, choroby zakaźne muszą być leczone na zasadach terapii racyonalnej przez postawienie ustroju w takich warunkach, w których by on mógł stać się nieprzydatnym do rozwoju mikrobów. Jakby przewidując dzisiejszy zwrot w terapii, Chałubiński powiedział: „Tak wygodnie jest, jeśli wraz z rozpoznaniem choroby stawia się w umyśle naszym *specyfik*, który ją uleczyć *powinien*, że łatwo spuścić można z uwagi mnóstwo warunków, w jakich choroba się odbywa; łatwo z lekceważeniem pominąć to, co jednakże w racyonalnem leczeniu stanowić powinno najważniejsze wskazówki postępowania.“ Bolał on słysząc, widząc i czytając, jak chorych pasiono naftaliną, jodoformem, kreozotem itp. przy leczeniu tyfusów, gruźlicy i innych chorób zakaźnych. Dopóki działał potęgą swego wpływu, hamował szkodliwy kierunek. Czy dziś jednak, kiedy go zabrakło, prąd chwili nie uniesie nas z drogi przez niego wskazanej? Droga ta wiodąca do prawdy jest jedyną; choćby ona była zaledwie małą ścieżynką i choć dalecy jesteśmy od celu, do którego dążymy, trzymać się jej powinniśmy z tem przekonaniem, że ona nas nie może zaprowadzić na manowce.

(D. n.).

SPRAWY EKONOMICZNE.

WYMIANA CZĄSTKOWA.

W ostatnich tygodniach rozpatrywano (dotychczas jeszcze nie ukończono) w warszawskiem Towarzystwie zachęty handlu i przemysłu projekt p. Zygmunta Herynga, mający na celu ustalenie wahań kursu rubla w pewnych granicach. Sprawa ta obudziła dość silne zainteresowanie i odbiła się głośnem echem w łamach dzienników miejscowych, gdzie doznała najrozmaitszego przyjęcia. Znając niektóre tajne sprężyny takiego lub innego zachowania się krytyków, z wielką ciekawością przeglądaliśmy spory i sądy. Bo czegoż tu nie było! Wypowiadano naiwne zdania, że jakim sposobem projektodawca mógł wynaleźć sposób ustalenia kursu, kiedy mężowie stanu i ekonomiści różnych narodów napróżno go poszukiwali! Znaleźli się arcykapłani, którzy zamiast rozbierania projektu, zaczęli odwoływać się do innych względów, np. stanęli w obronie godności państwa... Najciekawsza jednak, że zasadę pomysłu chciano przedstawić jako opartą na loteryi, chociaż w gruncie rzeczy cząstkowa wymiana jest raczej stałem i dla wielkich sum niezawodnem oprocentowaniem kapitałów złożonych w rublu, tak iż ten lub ów kapitalista mógłby umieszczać swe pieniądze w rublach papierowych. Właśnie na prawdopodobieństwie tego lokowania p. Heryng opiera wszystkie swoje nadzieje reformy finansowej.

Przejdźmy jednakże do samego projektu.

Państwo winno wycofać krążące obecnie papiery (których wysokość p. H. ocenia na miliard rubli) i zastąpić je innymi, które będą właśnie podlegały cząstkowej wymianie. Wymiana ta odbywać się ma na następujących zasadach. Co rok wylosowywaniu podlega dwudziesta część *) krążących biletów; wartość wylosowanych papierów jest uiszczana okazicielowi przez kasę państwową w złocie. Losowanie odbywa się 200 razy w roku, a to dlatego, aby zapobiedz możliwemu wycofaniu biletów z obiegu w przededniu ciągnienia, co bezwarunkowo nastąpiłoby, gdyby czyniono to rzadziej i dawano w ten sposób większe szanse wymiany. Wylosowane bilety po wypłacie złotem skarb opatruje stemplem i puszcza znowu w obieg, tak, iż ten sam bilet może znowu uledz wymianie w następnem chociażby losowaniu, co uniemożliwia spekulacyę numerami. Przypatrzmy się teraz, jakie byłyby skutki tej reformy. Przypuśćmy, iż kurs rubla papierowego jest tak niski, że wynosi jedynie 50% (w złocie), tj. za 150,000 marek można kupić 100,000 rubli papierowych. Zagraniczny kapitalista, który ulokowałby wtedy swoje pieniądze w rublach papierowych, ujrzałby prawdopodobieństwo (zamieniające się przy wielkich sumach na pewność), że rocznie wylosowaniu podlegnie 5,000 rs. z powyższej sumy, za które otrzyma tyleż w złocie, co uczyniłoby dwa razy więcej w papierach. Zyskałby na czysto 5,000 rubli papierowych czyli 5% (a nawet nieco więcej) od umieszczonego kapitału. Naturalnie przy wyższym kursie rubla papierowego widoki procentowe byłyby mniejsze. Skoro więc kapitalista zagraniczny będzie miał pewność, że wypłata wylosowanych biletów będzie uskuteczniona w złocie, można spodziewać się, że on będzie tu umieszczał kapitały, co musiałoby wpłynąć na wzrost zapotrzebowania rubla i podnieść jego kurs; ponieważ zaś w miarę zwyżki, spadałaby stopa procentów, granicą tego podnoszenia się byłby kurs, przy którym procent wyniósłby mniej aniżeli przy innem pewnem ulokowaniu. Przypuśćmy teraz, że kurs rubla spada z powodu różnych politycznych i wewnętrzno-ekonomicznych warunków państwowych; zniżka jego podniosłaby znowu stopę procentów i wywołałaby, jeśli tylko istnieje zupełna pewność wypłaty, napływ ze strony kapitalistów, co jeśli nie powstrzymałoby zniżki, to zwolniłoby ją przynajmniej. Słowem, cząstkowa wymiana nie usuwałaby różnych czynników, wpływających na spadek lub zwyżkę rubla, lecz jedynie służyłaby jako regulator wahań, osłabiając dążność w kierunku spadania. Zresztą p. Heryng wprowadza do swojego projektu jedno uzupełnienie, mianowicie, aby, ilekroć spekulacye będą dążyły do obniżenia kursu rubla, państwo otwierało czasową wymianę na srebro i przeciwdziałało tym usiłowaniom. Autor oblicza, że dzięki temu wszystkiemu wahania zostałyby zamknięte w stosunkowo ciasnych granicach i niewiele odbiegałyby od 67—68% w złocie.

Tak się przedstawia całokształt projektu. Widoczna, że środki te, jak zaznaczyliśmy powyżej, są jedynie regulatorami, przeciwdziałającymi zniżce i zamykającymi wahania w określonych granicach. Więcej od nich niemożna i niewolno się spodziewać. W żaden sposób nie stworzą one pełni, gdzie istnieje próżnia. Przytem wprowadzenie ich zamyka na zawsze drogę wszelkim nadziejom zrównania rubla papierowego ze złotym. Jest to próba jedynie ustalenia kursu na pewnym poziomie, nic więcej. Ktoś przyrównał to do sztucznie wywołanego rumieńca na twarzy chorego — porównanie poniekąd niesłuszne, z pewnem jednak zastrzeżeniem trafnie wypowiadające myśl, że cząstkowa wymiana nie naprawi wewnętrznych i zewnętrzno-politycznych warunków, od których głównie zależy wartość papierów. Następnie nastręcza się pytanie, czy nie lepiej byłoby użyć konsolidacyi zamiast wymiany cząstkowej, projektodawca przecież usiłuje wykazać wyższość swojego planu tem, że fundusze użyte przez skarb dla przeprowadzenia go wynoszą mniej niż procenty od długu skonsolidowanego i nie wtrącą państwa w zobowiązanie wypłacania sumy samej. Jeśli rozpatrywać będziemy projekt w oderwaniu od specyalnego gruntu państwowego, powodzenie i skutki reformy zależeć będą od tego, czy podnieta procentowa będzie wystarczała, aby przyciągnąć kapitalistów — pytanie, na które może odpowiedzieć jedynie praktyka. Najgłówniejszy zarzut, że reforma taka, będąc loteryą, wywoła wewnętrzne zaburzenia, jest wątpliwej wartości, gdyż trudno przypuścić, aby prawdopodobieństwo otrzymania za jedego dwóch rubli (jeżeli przypuścimy, że kurs papierowego rubla jest 1·5 marki — nizkość niesłychana w ostatniem 20-leciu nawet przy największym spadku), zamieniające się w pewność dopiero dla posiadacza 4,000 rs., było dostatecznie grożącą pobudką. W gruncie rzeczy jest to nie loterya, lecz zręczne oprocentowanie— nic nadto. Podobnie nie da utrzymać się zarzut, że takie oprocentowanie zmusi raczej kapitalistów zagranicznych do obniżania kursu, aby więcej otrzymać procentów. Wobec tego możnaby zapytać, dlaczego nic podobnego nie widzimy z różnemi akcyami towarzystw przemysłowych? Inne podawane zarzuty są tego rodzaju, że na nie mogłaby odpowiedzieć tylko praktyka. Ale właśnie dlatego projekt potrzebuje bardzo ryzykownych mężów stanu, którzy odważyliby się na jego wprowadzenie. Natomiast jeżeli rozpatrywać będziemy projekt p. Heryngа w zastosowaniu do państwa, dla którego został wymyślony, nasuwają się inne już trudności, natury miejscowej.

Zresztą, aby ocenić pomysł Heryngа, potrzeba posiadać wielką praktykę finansową. Z tego też powodu jedynie odnośne koła mogłyby zabrać głos bardziej rozstrzygający *).

*) W każdym razie zdaje nam się, że pomysł ten pozostanie kwestyą czysto teoretyczną, akademicką i o urzeczywistnieniu marzyć nie można z wielu względów. *Red.*

K.

*) Zauważyć należy, że liczby te jak i dalsze nie stanowią czegoś zasadniczego w projekcie. Można np. wylosowywać piętnastą część ogólnej sumy, jeśli trzeba będzie podnieść kapitalistów.

BADANIA NAUKOWE.

OSTATNIA PRÓBA OŚWIETLENIA NASZEJ PRZESZŁOŚCI.

I.

Dwa ubiegłe lata przyniosły nam dość bogate żniwo w zakresie popularnej historyografii ojczystej; wkrótce bowiem po ukazaniu się nowej edycyi książek—Bobrzyńskiego (1887, t. I) i Szujskiego (1889) wystąpił na widownię ze swym podręcznikiem p. Edward Bogusławski*). O tym najświeższym dorobku piśmienniczym obecnie pomówić zamierzamy.

Każdy popularny zarys historyi, odzwierciedlając przedmiotowo najnowsze zdobycze wiedzy, w danej sferze osiągnięte, powinien być jasny, dokładny, metodyczny, treściwy i... beztendencyjny. Niema w nim miejsca dla hipotez, niedojrzałych owoców jednostronnego badania; niema miejsca dla wywodów politycznych i uwag wychowawczo-kaznodziejskich. Kto chce widzieć w historyi „mistrzynię życia,“ ten jej pasma poglądami osobistymi niezabarwia. Jeżeli fakt, na podstawie źródeł, wiernie został odtworzony i z innymi, według bezsprzecznych wskazówek dziejowych, związany, czegóż tu więcej potrzeba? On sam za siebie mówi, gdy go badacz jasno, w naturalnem, niepodrobionem przedstawi świetle. Jak liryzm w epopei, tak ideologia polityczna w obrazie przeszłości narodowej zbyteczną całkiem jest przyprawą... Opowiadanie powinno być treściwe, ale nadewszystko dokładne i metodyczne: mnogość *drugorzędnych* szczegółów nie pozwala ogarnąć całokształtu danej epoki, podobnie, jak pobieżne wyjaśnienie a wadliwe uporządkowanie *głównych*. Obaczmy, co p. Bogusławski przyniósł w darze swemu społeczeństwu.

„Celem niniejszej *Historyi Polski* (mówi autor) jest krótki, treściwy, a przedewszystkiem wierny obraz przeszłości naszej.“ „Nie pominąłem, zdaje się, żadnego faktu, mającego swoje znaczenie, i stąd na dokładność w mej książce może czytelnik żalić się nie będzie.“ „Chodziło mi też nietylko o samo zestawienie z sobą faktów, lecz także o pewną myśl przewodnią, o ducha, który dzieje przenika i nadaje im odpowiednie życie, barwę i charakter.“ „Prawda, bezwzględna prawda (sic!) była dla mnie przewodnikiem. Wyświetlać prawdę i ostrzyć rozum — to hasło moje.“ Oto zasadnicza osnowa obietnic, wyrażonych w przedmowie. Przyznać trzeba, że mają one pozór wybujałych marzeń; trudno bowiem pogodzić dokładność ze zwięzłością, objektywizm dziejowy z tendencyą, która w dziełku p. Bogusławskiego szerokie znajduje zastosowanie. Ale nasz historyk jest wybrańcem bogów: puścił się odważnie na fale wzburzone; bo wiedział, że prowadzić go będzie nieulegająca nigdy zaćmieniu, gwiazda „prawdy bezwzględnej.“ Może kto z czytelników nazwie to olbrzymią... zarozumiałością; ja poprostu — szczęściem, błogostanem, jakiego doznają wieszcze w chwili pierwszych nawiedzin Apolina, a niektórzy ideologowie przez długi ciąg życia. „Prawda bezwzględna“ — „das Ding an sich“— ów lotos ukołysanej w obłoku, myśli ludzkiej karmi ich, napawa swą wonią, świeci i ogrzewa. Przed kilku laty znaliśmy podobnego pieszczocha muzy Klio. Był to kapłan katolicki, autor niewielkiej a barwnej broszury p. t. *Prawdą, nie fałszem*. Chociaż p. Bogusławski należy do wolnomyślnych; ale, równie jak ów mąż, lubi... malowane dzieje.

Książka niezwykłą odznacza się treściwością. Przed trzema laty Piotr Chmielowski (w swym *Zarysie literatury z ostatnich lat dwudziestu*), nazwał podręcznik Szujskiego „zanadto zwięzłym.“ Cóżby rzec należało o dziełku, które od *Historyi w dwunastu księgach* jest niemal o połowę mniejsze? Łatwo się domyślić, że autor, pomieściwszy cały obraz dziejowy — od czasów przedhistorycznych aż do r. 1795—w szczupłych ramach dwustu kilku stronic, nietylko wiele szczegółów drugorzędnych pominął, ale i zasadniczych rysów należycie uwydatnić nie zdołał. Bardzo np. pobieżnie a mglisto skreślił historyę Mieszka II i Kazimierza I; nie objaśnił ciekawego zatargu Bolesława Szczodrego z biskupem Stanisławem (33); bladą podał wiadomość: o „statucie wiślickim,“ o „wojnie kokoszej,“ o upokorzeniu Gdańska za Batorego, o kozaczyźnie i jej stosunku do starostów pogranicznych przed rokiem 1578, o rokoszu Zebrzydowskiego, o wygnaniu aryan, o konfederacyi radomskiej.

Niepotrzebnie pomieścił autor w swem dziełku dość obszerny artykuł „o rozległych niegdyś siedzibach plemienia słowiańskiego.“ Wolno się podobnemi hipotezami bawić uczonemu, ale nie „ubogim w duchu,“ łaknącym wiedzy pozytywnej. Historyk dowodzi, że „nazwy na *awa*, *ana*, *ona*, *ena*, *ina*, *ela*, *ula*“ (np. *Genava*. *Denova*, *Wisula*, *Mozela*) i inne podobne, właściwe (nie wyłącznie zresztą) językom słowiańskim i litewskim, „pokrywały już w starożytności obszerną przestrzeń od Dniestru do Loary i od Bałtyku do morza Adryatyckiego.“ „Wszystkie te nazwy (powiada p. B.) wskazują na obszerne siedziby plemienia naszego w Europie, w czasach przedhistorycznych, a wskazują z taką jasnością, że o niej wątpić nie można.“ Autor nie pierwszy po tych błękitnych kroczy szlakach; będzie miał też niezawodnie i następców. Dla dobra nauki i honoru plemienia życzyćby należało wszystkim pracownikom słowiańskim, wybierającym się na zawrotne tory badań przedhistorycznych, większej, niż dotąd, wstrzemięźliwości w wyprowadzaniu wniosków. Dlaczegoż mamy ciągle walczyć o lepsze z niemcami w sferze samolubstwa, i łatwo zdobycze, świecące pozorem „prawdy bezwzględnej,“ cenić wyżej nad to, co się mozolnym a umiejętnym zdobywa trudem? B. wojuje głównie dowodami lingwistycznymi; ale w stosunku do ważności przedmiotu posiada ich niewiele. Chwiejny też one mają grunt pod sobą. Pragnąc daną kwestyę na tej drodze choć jednostronnie, lecz na seryo, rozjaśnić, należałoby zawładnąć bogatszym znacznie arsenalem wiedzy. Zamknąwszy się w ciasnym krążku faktów, bardzo łatwo uwierzyć w nieomylność swych przypuszczeń, zwłaszcza jeśli je duma osobista, narodowa lub plemienna wieńczy; ale gdy horyzont szersze zakreśli granice, nowe odkrycia grób dawnym hipotezom wykopią. Taki los bezwątpienia spotkałby podane w streszczeniu, na pierwszych kartach *Historyi polskiej*, a w dwuarkuszowej rozprawie, p. t. *Szkice lito-windyjskie*, szczegółowo rozwinięte, wywody p. Boguslawskiego, gdyby autor pogłębił swą wiedzę w zakreślonej dziedzinie językoznawstwa, a jednocześnie rozszerzył ją, wstępując na terytoryum zaniedbanych całkiem przez siebie narzeczy celtyckich. Bądź co bądź, traktat, poświęcony wykładowi hipotezy dziejowej, przekracza ramy podręcznika.

Nie należałoby również *podawać*, w zwięzłej nawet formie, *za prawdę bezwzględną*, teoryj, ostatecznie jeszcze niedowiedzionych. Grzeszy autor przeciw tej zasadzie elementarnej, gdy na str. 4 mówi: „Obcy zdobywcy na ich (słowian) ziemi tworzyli związki państwowe, dali początek własności indywidualnej, w części szlachcie i rodzinom panującym czyli dynastyom.“

W pracy p. Bogusławskiego znajdujemy sporą wiązkę — jużto niejasnych i wątpliwych, jużto błędnych nawet wskazówek.

Do ciemnych punktów należy przed innymi rodowód potęgi możnowładczej. Pod Bolesławem Szczodrym ukazuje się nam ona odrazu w pełnej zbroi, niby Minerwa, z głowy Jowisza wyskakująca: „przyszło do walki między królem a możnowładztwem — Bolesław, pokonany, ustąpić musiał...“ Pod Władysławem Hermanem Sieciech prowadzi dalej dzieło wygnańca, „broniąc (bezskutecznie) absolutnej zasady panowania od zamachów możnowładczej partyi.“ Za Bolesława Krzywoustego stan rzeczy nagle się zmienia: „monarchia polska (pod jego berłem) była jednolita; władza króla — nieograniczona.“ Skąd, zapytacie, taki przewrót? Jakim sposobem dokonał go Bolesław? Czyż mógł cel osiągnąć bez trudu — bez boju? Na to niema odpowiedzi. „Lecz po Bolesławie (czytamy dalej) już inne nastąpiły czasy: możnowładztwo świeckie i duchowne nabrało siły, *pragnęło wolności i dążyło do sponiewierania władzy monarszej*...“ Możnowładztwo zatem, nagle przez Bolesława III ujarzmione, *odrazu* po jego śmierci spotężniało. Są to jakieś dziwne przygody, które nie mają nic wspólnego ze stopniowym, prawidłowo toczącym się procesem historycznym. Autor nie scharakteryzował tu należycie pojedyńczych epok, a nadużywając w sposób szablonowy terminu „możnowładztwo,“ zatarł mimowoli różnice, jakie między pokrewnemi zjawiskami trzech czy czterech momentów dziejowych zachodzą. Dodać wreszcie musimy, że postać Sieciecha, rzekomego „obrońcy absolutyzmu,“ pozostaje w jaskrawej niezgodzie z wizerunkiem nieprzebierającego w środkach, intryganta-karyerowicza, „Jugurty“ polskiego, skreślonym dosadnie przez Marcina Galla. Czyż źródło spółczesne nie zasługiwało na szczególne przed innemi uwzględnienie?

Władysław II zmuszony był ustąpić z Polski, według naszego autora, w r. 1146. Nic przeciwko temu w zasadzie nie mamy; ale ponieważ istnieją zdawna trzy sporne daty (1142, 1146, 1148), należało w dopisku objaśnić: dlaczego historyk poszedł za Długoszem, lekceważąc zarówno „kronikę wielkopolską“ (1142), jak źródła, na których się oparł Naruszewicz i jego następcy (1148).

Mówiąc o „ostatecznym rozbiorze“ Polski w dobie podziałowej, zaznacza p. B., że Kraków, niegdyś stolica potężnego państwa,“ stał się za czasów Bolesława Wstydliwego „miastem, *politycznie* równem każdemu innemu...“ Czyż przed Władysławem Łokietkiem był kiedy Kraków *uprzywilejowaną* „stolicą *potężnego* państwa“? Wzrastał on zdawna w potęgę, uważany za główne ognisko ziemi małopolskiej; od 1079 imponował urokiem krwawej pamiątki, a w sześćdziesiąt lat później otrzymał istotne pierwszeństwo przed innemi, jako miejsce urzędowego pobytu najstarszego z książąt; ale za dawnych Piastów nie był ani grodem koronacyjnym (Gniezno), ani stałem siedliskiem naczelnej władzy państwowej, ani miejscem spoczynku zwłok monarszych (Poznań, Płock).

(D. c. n.).

A. G. Bem.

---

*) *Historya Polski*, Kraków, 1889.

Z FRANCYI.

Paryż, 24 listopada.

Muzeum religij.

Bardzo interesujące muzeum otwarto uroczyście w Paryżu. Jest to „Muzeum religij,“ zwane inaczej „Muzeum Guimeta,“ od nazwiska głównego założyciela.

Pobudowano je w pobliżu Trocadero, na placu Jena. Gmach pokryty jest z frontu kopułą, od której wzdłuż ulic sąsiednich, rozchodzących się z placu promieniami,

biegną dwa skrzydła o rozmiarach pokaźnych. Całość wygląda dość imponująco, wewnątrz zaś kryje prawdziwe skarby, na które złożyły się kulty religijne całego niemal świata.

Sama idea przewodnia nowej instytucyi zasługuje na bliższą uwagę. Założycielom jej chodziło o zilustrowanie metodą poglądową historyi wierzeń i wiar, jakim hołdowała ludzkość w ciągu długich stuleci swego umysłowego, etycznego i społecznego rozwoju i jakim dotąd jeszcze w olbrzymiej swej większości hołduje.

Nie było zresztą zamiarem twórców tej świątyni krzepić nadwątlałe wierzenia religijne. Bóżnica, chroniąca gościnnie pod swym dachem wszystkich bogów, nie jest żadnym kościołem, chociaż złożyły się na nią kulty wszystkich stref i stuleci. Sam ten wszechstronny eklektyzm wyklucza wszelką pozytywną wiarę religijną w jedno z bóstw, mające tak dużo współzawodników w archeologicznem muzeum Guimeta. Nie wybudowano też go, powtarzam, dla szerzenia wiary. Odwiedziny w niem — to lekcya poglądowa religij. Początkujący niedowiarek pouczy się tu wiele, przebiegając jednak długie i bogate galerye tego muzeum, niemającego równego sobie w żadnym zakątku świata — niepodobna poprzestać na myśli, że w tych, dziwacznych często i karykaturalnych statuach i posągach ludzkość złożyła jedynie obfite żniwo swych błędów, zabobonów i przesądów. Nie, w tej religijnej arcę przymierza ludzkość ta, w formach i kształtach przystępnych do jej umysłu, składała również najlepszą niewątpliwie część swych wyobrażeń, uczuć, nadziei i pragnień. Dlatego też porzućmy sarkastycznie wykrzywiony uśmiech wolteryanina a patrzmy na religie owe oczami badacza, który wnika w złożony proces rozwoju ludzkiego ducha i w różnych jego fazach doszukuje się przedewszystkiem człowieczych ideałów, myśli i pragnień.

Przyjrzyjmy się jednak samemu Muzeum. W głównym pawilonie środkowym, w dużej rotundzie, pokrytej kopułą, spotykamy naprzód bogatą bibliotekę, która pouczyć nas może o zawartości sąsiednich galeryj. W głębi tej naukowej kaplicy oglądać można wielką statuę Buddy, człowieka, który stał się bogiem przez naukę i cnotę. Dwie postacie strzegą wejścia do tej świątyni, to Mandgalijajana i Kaziputra, jeden na lwie, drugi na słoniu, obaj najpierwsi i najwierniejsi uczniowie mistrza.

Wchodzimy z kolei do galeryi indyjskiej. Przed nami roztacza się całe pasmo wierzeń tej religii naturalistycznej, która liczy dziś jeszcze około 500 milionów wyznawców. Na szczątkach dawnych wozów świętych, na których tryumfalnie obwożono bóstwa, widzimy w płaskorzeźbach sceny z wielkiej epopei indyjskiej, Mahabaraty. Oto znowu słynna świątynia w Dżarżernant w zmniejszeniu. Dalej — to Brahma, bóg stwórca wszechpotężny, a dalej—Wisznu, wielki konserwator i Szywa, duch zniszczenia i przeobrażeń, podobno wieczny rewolucyonista. W innem znowu miejscu Wisznu występuje jako bóg słońca, opiekun świata i jego wszystko przenikające tchnienie; widzimy go w dziesięciu wcieleniach. Po raz ósmy wcielą się on jako Kryszna, którego mytologia obfituje w powikłany wątek zdarzeń i wypadków: rzeź niemowląt z rozkazu nieludzkiego tyrana, Kamsy, ucieczka Wasa i Ewy itp.

Sztuka indyjska jest względnie młodą. Najstarsze wierzenia religijne wedyzmu i braminizmu nie zostawiły po sobie żadnych zabytków; dochowane nie sięgają prawdopodobnie po za wiek VIII naszej ery. Sztuka to wogóle pełna przesady i jakiegoś szarpania się, świadcząca jednak o niezaprzeczonem bogactwie wyobraźni; i tu jednak zdarzają się utwory harmonijne, jak owa statua bronzowa Lakszmi, bogini piękna, miłości i szczęścia, Wenus indyjskiej, małżonki Wisznu...

Indo-Chiny mają już inny wygląd. Indyjskie bóstwa wyobrażają żywe siły przyrody, są więc w ciągłym ruchu; w religii buddyjskiej, opartej na miłosierdziu, miłości bliźniego, kontemplacyi i wyrzeczeniu się dóbr tego świata, wszystko tchnie spokojem. Religia ta jednak wyraża się inaczej w Kambodży, inaczej w Siamie i Birmie.

Następna z kolei galerya wprowadza nas do Tybetu. Tu znowu dekoracya się zmienia. Jesteśmy w dziedzinie czarnoksięstwa i legend. Bogowie mają mnóstwo rąk, symbol ich potęgi; walczą oni wciąż ze złymi duchami, stąd twarze ich i postacie kurczowo wykrzywione, gniewnie. Takim jest Czen-re-si, patron i obrońca Tybetu, Czakdor, toczący wciąż bój z demonami.

W sztuce chińskiej spotykamy większą jeszcze karykaturalność, graniczącą często z humorem. Buddyzm chiński przechyla się nieco ku temu; postacie Buddy i jego uczniów mają na sobie piętno idealne, liczni jednak święci chińskiego Panteonu pokazują się nam często z twarzą wykrzywioną. *Konfucyonizm*, kodeks moralności cywilnej, niema bogów, geniuszów ani demonów; widzimy więc tylko obrazy Konfucyusza, wielkiego cywilnego świętego i Kumti, b. generała, który stał się bogiem wojny. Natomiast *taotizm*, religia popularna, jest zlepkiem różnych wierzeń miejscowych, posiada więc bogaty Panteon bogów, świętych i czartów.

Japonia ma dwie religie, sin-to i buddyzm. Pierwsza jest religią narodową, która nie pozwala na jakiekolwiek obrazy bóstw. Świątynie tego wyznania mają tylko zwierciadła i symbole czystości. Czczone jest słońce, wyobrażane jednak niekiedy w postaci bogini Amateiassu, pramacierzy rodu królewskiego w Japonii, sin-to jest bowiem także religią rządową. Buddyzm przeniknął do Japonii w szóstym wieku naszej ery i sworzył tam sztukę, o wiele bogatszą i doskonalszą od chińskiej...

Nie możemy zresztą oprowadzać czytelnika szczegółowo po wszystkich galeryach; musielibyśmy bowiem opowiadać historyę religij. Dodam jeszcze tylko, że prócz powyższych są jeszcze galerye poświęcone religiom starego Egiptu, Grecyi, Romy...

Prócz tego mamy tu również bogate zbiory ceramiki chińskiej i japońskiej.

Paryska rada miejska, która ofiarowała grunt pod budowę tej świątyni wszechreligij, zamierza utworzyć przy Muzeum katedrę historyi religii, jak utworzyła już i uposażyła katedrę historyi Rewolucyi francuskiej — i inną, poświęconą specyalnie teoryi rozwoju, obie w starej Sorbonie, do przebudowania i przekształcenia której Paryż dokłada również swe obole.

Parisis.

LITERATURA I SZTUKA.

WYSTAWA STAROŻYTNOŚCI.

II.

Najciekawszą wszakże, choć może nie tak wspaniałą i tak nie rzucającą się w oczy, jak inne działy, jest tu archeologia. Poraz pierwszy wystawiono w Warszawie tak okazałe zbiory kopalnych bogactw, które mimowoli przenoszą zwiedzającego w zamierzchłą epokę dziejów ludzkości.

Już u samego wyjścia spotykamy szkielet, dwie pary rogów żubra, czaszkę niedźwiedzia i goleń tura ze zbiorów p. Maryi Zawiszyny; a na górze w szafach prof. Samokwasowa, Przyborowskiego i p. Tadeusza Dowgirda cenne zabytki archeologiczne.

W zbiorach p. Samokwasowa znajdujemy znalezione przez niego przedmioty w mogiłach okresu pogańskiego w południowej i środkowej Rosyi, a należących do rozmaitych epok najdawniejszych. Są to okazy należące do pierwszej, najdawniejszej, zwanej cymeryjską, sięgającej od najścia scytów, skolotów nad europejskim brzegiem morza Czarnego aż do VII wieku przed Chrystusem. W mogiłach i cmentarzyskach tej epoki brak zupełnie przedmiotów żelaznych, natomiast spotykamy pięknie wykończone toporki, młotki, ostrze do włóczni, strzałki, oszczepy, naramienniki bądź z kamienia szlifowanego, krzemienia lub bronzu, oraz mnóstwo biżuteryi kobiecej, upiększeń bronzowych z wyobrażeniami głów baranich, koźlich, świń, ptaków itd.

W drugiej, według prof. Samokwasowa, epoce, scytyjsko-sarmackiej, od czasu utworzenia nad brzegiem morza Czarnego państwa scytyjskiego i od czasu założenia pierwszych osad greckich na północnem wybrzeżu tegoż morza do wieku V po Chrystusie, znajdujemy już oprócz bronzowych wyroby z żelaza, a nadto przedmioty sztuki starożytnej greków i rzymian, naczynia gliniane zdobne w różne malowidła oraz monety greckie i rzymskie. Do tej epoki odnoszą się też strzałki kościane, zwierciadła bronzowe, wielkie paciorki kamienne szlifowane i inne z mogiły rozkopanej pod Piatigorskiem a bardzo podobne do przedmiotów w mogiłach i kurhanach powiatu kaniowskiego i romeńskiego.

Trzecia epoka auto-słowiańska od V wieku po Chr. aż do przyjęcia chrześciaństwa przez tamecznych słowian, odznacza się tem, że w mogiłach znajdujemy przedmioty sztuki bizantyjskiej i arabskiej od V do X w. po Chr. Są tam hełmy, kolczugi, miecze, włócznie, oszczepy, piękne puhary z rogów turzych, ozdobione blaszkami srebrnemi z rytowanemi na nich zwierzętami fantastycznemi oraz scenami myśliwskiemi, złote monety bizantyjskie, kości do gry, narzędzia żelazne, paciorki, guziki srebrne i złote, sprzączki jako ozdoby ubrania kobiecego i wiele innych. Zabytki te pochodzą z kurhanów powiatu czernihowskiego i kaniowskiego, oraz z horodyszcza „Kniaziowa góra“ przy ujściu Rosi do Dniepru.

Epoka czwarta jest mongolsko-tatarską z okresu panowania mongołów i tatarów w Rosyi, z przedmiotami znajdywanymi w kurhanach guberni ekaterynosławskiej i północnego Kaukazu. Epokę pogańskich mogił tego okresu wskazują monety tatarskie z XIV, XV i XVI w., odnajdywane w kurhanach południowej Rosyi oraz przedmioty złote, srebrne, bronzowe, kościane i doskonale zachowane szczątki tkanin przetykanych złotem.

Z wykopalisk na Litwie i Żmujdzi a bliżej obchodzącej nas żelaznej epoki są zbiory znanego malarza i archeologa, p. Tadeusza Dowgirda; dziesięć znów tablic prof. Przyborowskiego z grotami do strzał i nożykami, zebranemi na cmentarzyskach przedhistorycznych nad Bzurą, Świdrem, Wieprzem i Tyśmienicą, świadczą o dokładnem wykończeniu tych krzemiennych wyrobów.

Jest w dziale tym wiele innych jeszcze wykopalisk z epoki krzemiennej i bronzowej, lecz szczegółowe opisywanie owych ciekawych niezmiernie i pouczających zabytków zajęłoby nam zbyt wiele miejsca.

Natomiast polecić możemy czytelnikom dokładne przejrzenie tego działu wystawy, gdzie przy pomocy katalogu, oraz znajdujących się na miejscu tablic i fotografij wielu rzeczy nauczyć się można. Zająć one winny każdego myślącego człowieka nietylko starożytnika; lekceważące zaś traktowanie tego działu mogłoby usprawiedliwić znany czterowiersz poety:

Śpij sobie, duszo! Co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata,
Że ktoś ciekawy początku swego—
Ze starych grobów kurze obmiata.

LISTY PETERSBURSKIE.

Teatr. — Komedya *Łuczi i tuczi*. — Muzyka ruska.— Julian Kędrzecki. — Tajemniczy zgon.

Znaczna część pisarzy ubiegłych dziesiątków lat wierzyła, że grom, co ongi się rozlegał w Sewastopolu, oczyścił powietrze, a więc orzeźwił pierś narodu. Ten pogląd ma pewne podstawy. Po owej wojnie życie zakipiało i trysło przez wszystkie szczeliny zjawisk społecznych. Prawodawstwo i literatura całe zajęły się człowiekiem, by podnieść go moralnie i materyalnie. Że malarstwo zrobiło postępy tylko w ostatnich czasach, już pisałem w *Prawdzie*. Czem zaś był teatr aż do Ostrowskiego, Grybojedowa, Gogola — trudno sobie wyobrazić. *Niedorosl* i *Brygadir* Fon-Wizina—jedyne komedye, na których można zatrzymać wzrok. Co się tyczy artystów, historya teatru przez cały czas istnienia zna dwa — trzy wybitniejsze imiona. Prywatne sceny, chociaż istniały, lecz podnieść i uszlachetnić sztuki nie mogły, gdyż aktorzy byli poddanymi i zależeli od woli nie zawsze wykształconych mecenasów. O operze kronikarze powiadają, że Tamberlik i Patti przyuczyli publiczność stołeczną do teatru, że przedtem świecił on pustkami. W tem jest trochę słuszności, lecz pewniej, że do tego czasu muzyczne wykształcenie było zbyt nieznaczne i że tylko stopniowo podnosząc się, zyskiwało coraz większą ilość zwolenników. Tak, czy inaczej nieobecność włoskiej opery, zamkniętej przed kilku laty, daje się mocno odczuwać, gdyż na ruską prawie niepodobna dostać biletów. Ozdobą śpiewaków nazywają Fignera i Medeję-Mej, zresztą męzkie głosy mają wybitnych przedstawicieli w Strawińskim, Koriakinie... Kobiece w porównaniu są słabsze. Do teatru dramatycznego publiczność tutejsza z mniejszym uczęszcza zapałem, lecz i tu nie zawsze może dostać miejsce, zwłaszcza gdy są grane lepsze sztuki. Ulubionymi artystami są: Warłamow, Sazonow, Dawydow... Sawina, Strepietowa... Zresztą dla niektórych ról aktorów brak. Jeden z literatów przetłomaczył *Maryę Sztuart* Słowackiego, lecz dotychczas biedzi się, bo jeżeli komitet teatralny zatwierdzi ową tragedyę, komu poruczyć rolę Maryi: Modrzejowskiej niema.

Obecny upadek literatury ujemnie wpłynął i na scenę. W przeszłym tygodniu pierwszy raz grano komedyę Tichonowa: *Łuczi i tuczi* (Promienie i chmury), którą, mówiąc nawiasem, najsłuszniej by nazwać: mgłą, tak to bezbarwne i biedne.

Osnowa taka:

Obywatel wiejski, zakochany w swej siedzibie i żonie, oczekuje z Petersburga przyjaciela; tymczasem przyjeżdża z Moskwy jakiś niby kuzyn jego żony, w rzeczywistości, jak się potem okazało, człowiek, który był dla niej przed zamęźciem nieobojętny i który namawia ją do porzucenia domu i pod jego opieką wstąpienia na scenę. Gdy ta waha się, a wreszcie postanawia jechać, ratuje ją ojciec, w porę wygłaszając morał o obowiązku... Trochę dziwnie brzmi owa nauka w ustach tego, co nie umiał zaszczepić córce lepszych zasad nad poślubienie człowieka, którego nie kochała i po kilku miesiącach pożycia gotowa porzucić. A gdy ojciec razem z córką ukrywają przed jej mężem przepaść, nad którą znajdowało się jego szczęście — gotóweś przyjść do przekonania, że autor proteguje fałsz.

Petersburski przyjaciel gospodarza wprowadzony został na scenę nie wiadomo po co. Prawdopodobnie — by dać możność służącej stworzyć plotkę, że on to mianowicie jest adoratorem gospodyni... a może dlatego, aby ożenić go z siostrą gospodarza.

Słowem— mgła. Jedyny niezły typ młodej dziewczeki nie wynagradza straconego czasu i atłasu. Zresztą można ręczyć, że stare jak świat morały owej mgły, z domieszką kłamstwa i fałszu — prędko zejdą ze sceny.

Dyrekcya teatralna, zważywszy, że takie nowostki, jak *Łuczi i tuczi* nie wytworzą dobrych artystów, wprowadziła widowiska dodatkowe. Co niedzielę wśród dnia młodzi aktorzy kształcą się na sztukach klasycznych, a więc na utworach Fon-Wizina, Ostrowskiego, Gogola... Przedstawienia tó noszą nazwę: „dla młodzieży“ — szczęśliwi!.. Szkoda, że w obrębie literatury niema podobnejże szkoły, bo nowocześni pisarze takie promienie i cienie rzucili na cały obszar umysłu, że wpatrując się w nie dłużej, nie trudno oślepnąć.

Początek narodowej muzyki datuje się od Glinki. Długo odmawiano mu wszelkich zalet i talentu, aż otrzymano z Paryża pochwalną odezwę; jednak i teraz są krytycy, co wątpliwie poruszają głowami. W każdym razie szkoła narodowa coraz więcej zyskuje zwolenników. Nowatorzy (Rymski-Korsakow, Cezary Kini, Musorgski, Głazunow, Bałakirew, Borodin), znani z początku pod żartobliwą nazwą *gromadki*, którym prawdziwi *konserwatorzy*, z p. Rubinsteinem na czele, odmawiali nawet znajomości muzyki — kładą podstawy coraz trwalsze.

Z innej strony zwolennicy Rubinsteina z powodu oczekiwanego jubileuszu, nazywają go twórcą muzyki w Rosyi. Bezwątpienia zasługi szanownego mistrza są znaczne, lecz pozwolimy sobie twierdzić, że nie on, jeno Gogol, Turgeniew, Dostojewski... stworzyli muzykę. Literatura była pługiem, co zaorał grunt; poczem na gotowej roli zasiano i zboża i kwiaty życia.

Niedawno jeden z pisarzy — chociaż drugorzędnych — nasz rodak Julian Kędrzecki znalazł w mogile spokój, którego pod słońcem nie mógł znaleźć. Po ukończeniu wszechnicy w 1850 r., wbrew własnej chęci i powołaniu, dla podtrzymania rodziny, zostaje nauczycielem; w 1882 r. wrócił do Warszawy i trzymał miejsce w bibliotece Krasińskich — lecz coś stało się: czy synekura zaciężyła mu, czy do zbolałego łona ktoś dolał trucizny, dość, że nagle zniknął z Warszawy i jak potem okazało się, przyjechał do Petersburga. Długo szukał miejsca, a gdy zadłużył się kobiecie, u której wynajmował mieszkanie, zostawił za zapłatę swe sprzęty, odzież — i znowu zniknął.

I oto pewien p. B. otrzymuje list, proszący go o przyjście do szpitala na pożegnanie; poszedł, znalazł już trupa, a gdy dowiedział się o wszystkiem, struchlał. Kędrzecki ostatnie miesiące życia spędził wśród owych wyrzutków, których zna każde większe miasto, a których stolica bodaj w Londynie. Więc nocował gdzieś w krzakach, lub na odludnym brzegu Newy i jej odnóg, żywił się odpadkami, lub wsparciem sprytniejszych swych towarzyszów, a do ziomków — nawet do przyjaciela — nie udał się. Co to znaczy? Podobno p. B. znalazł wśród papierów zmarłego jakiś list z Warszawy pełen zgrozy i upokorzenia dla biednego tułacza — jak to pięknie! Nienapróżno gdy p. R. dowiedział się wypadkiem o jakimś ziomku w szpitalu i posłał mu jakieś przysmaki, Kędrzecki odrzekł: żadnych ziomków nie znam, a od nieznajomych nic nie przyjmuję — logicznie.

Zimy dotychczas nie mamy: deszcz, błoto, mgła. Krom zwykłych jesiennych chorób zawitała jakaś tajemnicza *influenza*, coś nakształt lekkiego tyfusu. Niebezpieczeństwem nie grozi, za to prawie niema nikogo, ktoby nie zaznał choć trzech—czterech dni niedomagania.

N. B.

LISTY WIEDEŃSKIE.

Wiedeń, 30 listopada.

Sztuka polska na wystawach wiedeńskich. — Z pracowni Ajdukiewicza i Rybkowskiego. — Minister Dunajewski zasługuje się około sztuki.

Zanim karnawał obejmie wszechwładne panowanie nad umysłami towarzystwa i artystów, którzy w Wiedniu ponoszą wielką część trudów, połączonych z urządzeniem zabaw karnawałowych, sztuka poważna cieszy się zajęciem powszechnem. Co wieczór odbywa się parę koncertów, Burgtheater i opera śmiało wystawiają utwory klasyczne, a salony sztuk pięknych stoją otworem. Künstlerhaus i Künstverein wystąpiły z imponującą ilością płócien, zaniedbując rzeźbę niemal zupełnie. Zanim rzucimy okiem na całość wystaw tegorocznych, które mieszczą wiele rzeczy zajmujących i prawdziwie cennych, chcielibyśmy pokrótce zaznaczyć udział artystów polskich. Jest on tym razem nader słaby. W Künstlerhausie, uchodzącym niejako za salon urzędowy, nie zauważyliśmy dotychczas ani jednego obrazu pędzla polskiego. W Kunstvereinie trzy jeno: studyum olejne M. Zajączkowskiej, niecelujące wykonaniem, portret pastelowy Teodora Zajączkowskiego, również dość mierny, wreszcie Szymanowskiego obraz ulicy monachijskiej po deszczu. Drobny ten obrazek rodzajowy, którego środek zajmuje postać służącej, ostrożnie stąpającej z ciężkim koszem po śliskiej ulicy, odznacza się wielką plastycznością, wynikającą z misternego rozkładu światła i cieni.

Nie sądźcie jednak, iżby artyści nasi próżnowali. Pracownie malarzy polskich, mieszkających w Wiedniu, przepełnione są pracami, które po większej części pojawiają się na wystawie wiosennej. Zajrzyjmy do tych pracowni, urządzonych ze smakiem i przepychem, a przekonamy się, że artyści nasi, mimo iż na wystawach obecnych brak ich, pracują, wielostronnie i z powodzeniem, którego koledzy niemieccy niemało im zazdroszczą. Ajdukiewicz, który przez wpływy Dunajewskiego i Ziemiałkowskiego uzyskał prawo objęcia pracowni zbudowanej niegdyś przez Makarta, urządził sobie rozległe salony tego domu tak, iż obecnie posiada pracownię nietylko największą w Wiedniu, lecz, wyjąwszy może atelier Angelego, najgustowniejszą. Stać artystę na przepych taki, gdyż już po udatnym portrecie arcyksięcia Wilhelma, a bardziej jeszcze po portrecie arcyksięcia Rudolfa, Ajdukiewicza zarzucają zamówieniami, którym artysta zaledwie podołać może, tem bardziej, że nie zaniedbuje płócien większych, kompozycyj i studyów z własnego płynących upodobania. Najbardziej wzbudza zazdrość artystów tutejszych tem, że portretuje obecnie cesarza Franciszka Józefa, który niechętnie pozuje i którego od lat wielu malował tylko słynny „malarz cesarzów,“ Henryk Angeli. Zasługa Ajdukiewicza polega głównie na wybornem oddaniu charakterystycznego ruchu postaci i wyrazu twarzy. Maluje w rozmiarach drobnych, tak, iż technika niema szerokiego pola do popisu, a i układ portretów — obok cesarza portretuje też komenderującego armii Austro-Węgier, arcyksięcia Albrechta — nie odznacza się bogactwem wyobraźni: obaj jadą na wierzchowcach, podobnie jak arcyksiążę Rudolf, pod kopytami koni łąka, nad nią horyzont czysty, błękitny. „Plain air“ (otwarte powietrze), kompletny i wyborny: wszystko świeci się w tem powietrzu świecącem. Onegdaj pozował cesarz Ajdukiewiczowi przez dwie godziny konno na polu—tak to sztuka tyranizuje nawet panujących. Oprócz licznych prac zamówionych, z których wymieniamy tylko wielki portret zmarłego hr. Adama Potockiego, malowany przez Ajdukiewicza gło-

wnie z pamięci, widzieliśmy u niego szereg większych szkiców do obrazów na tle afrykańskiem, wielce obecnie w Wiedniu modnych i pożądanych. Do „Pochodu karawany przez pustynię“ naszkicował na Saharze mnóstwo studyów. Karawana ta, owita tumanami kurzu czerwonawego, działa nader efektownie i tu „plain air“ na pierwszy rzut oka przejawia się w sposób zdrowy, niezmanierowany. „Targ w Kairze“ odznacza się obfitością postaci i żywością układu grup.

Tadeusz Rybkowski, który na Maksimiliansplatzu urządził sobie pracownię nie rozległą, ale ze smakiem prawdziwie artystycznym, nie portretuje cesarzów i nie maluje karawan afrykańskich, lecz za to znajdziecie u niego nieprzejrzaną niemal ilość studyów swojskich, pomyślanych poetycznie i oddanych z wdziękiem. Najbardziej ujął nas szkic do obrazu większego, któremu nie można odmówić cech sztuki społecznej, mimo iż obraz ten zowie się tylko „Powrót z polowania.“ Przed oberżą wiejską stanęło towarzystwo myśliwych; wtem przejeżdża na furze chłopskiej duchowny z sakramentem. Już ten kontrast, zachodzący pomiędzy obiema grupami obrazu, działa silnie; niemniej żywe wrażenie czyni rozmaitość zachowania się poszczególnych uczestników polowania. Podczas gdy szlachta na koniach ledwie ściąga kapelusze, leśniczy, żegnając się, chyli się głęboko, wieśniacy klęczą na ziemi. Krajobraz zimowy w oświetleniu wieczornem podnosi nastrój tego obrazu. Oryginalnie pomyślaną jest druga kompozycya, osnuta na motywie często już wyzyskanym: stoimy nad brzegiem Dniestru; liczne towarzystwo, ulokowawszy się na tratwie, czeka odbicia od brzegu. I tu widzimy myśliwych z psami, lecz przeważają postacie huculskie. Główną piękność obrazu atoli stanowi rozległy horyzont, obejmujący długi obszar Dniestru, wydmy piaszczyste i niebo błękitne. Inny szkic znów okazuje nam pastwisko: w dali stado koni, z przodu około ogniska grupa pastuchów, żartujących z dziewkami, które niby uciekają. Ze szczególnym wdziękiem oddaje Rybkowski charakterystyczne rysy wieśniaków, tak, iż obrazy jego tchną tą atmosferą wiejską, ku której artysta zwraca się najchętniej. Wiadomo, że i on zżył się zupełnie z metodą „plain airu,“ której trzyma się i w najdrobniejszych obrazkach rodzajowych. Będąc ubiegłego lata w Karpatach, zebrał mnóstwo studyów z tych okolic, przywiózł też parę obrazów rodzajowych na tem tle osnutych. „Pożegnanie z kochanką,“ to obrazek górski: przed strzechą, nizką hucuł żegna dziewczynę; czeka nań koń okulbaczony; koloryt nieba i dziwna czystość powietrza na pierwszy rzut oka dozwala poznać, iż scena ta odgrywa się w górach. Taż sama atmosfera górska spoczywa na ogródku warzywnym, na którego środku, obok kobiety klęczącej w grzędzie, stoi wieśniaczka z niemowlęciem na ramieniu. W głębi, na wierzchołku strzechy, stoi bocian. Z prac, które Rybkowski wykonywa na zamówienie, wymienimy przedewszystkiem obraz większych rozmiarów, przeznaczony dla ministeryum wyznań i oświecenia. Przedstawia on targ na placu zwanym „am Hof.“ Plac ten leży w samem sercu miasta i o każdej porze dnia i nocy w charakterystyczny sposób odbija życie wiedeńskie. Już koło pierwszej w nocy zjeżdżają się tu kroaccy wieśniacy, mieszkający w okolicach Wiednia, a zaopatrujący go w nabiał, jarzyny i owoce. Obozują oni na swych wozach; część sypia na tłomokach, część, otulona w białe sukmany, zimą, czy latem, leży na ulicy. Nieco później pojawiają się światełka, coraz to liczniejszo, nizko zawieszone; przekupnie rozpakowują tłomki i ustawiają kosze. Jeszcze brzask nie zaświtał, kiedy drobni handlarze przychodzą po zakupy; wówczas też towarzystwa, które do późna się bawiły, przejeżdżają w dorożkach, w owych słynnych „fiakrach“ wiedeńskich. Jest to chwila o istotnym wdzięku: w dole mrowisko postaci wieśniaczych, oświetlonych czerwonymi błyskami latarń, stojących na ziemi lub na tłomokach, nad niemi czarniawa atmosfera, która w górze, nad dachami domów rozszerza się w pierwszych odblaskach dalekiego brzasku. Piękność obrazu podnosi to, że dokoła widzimy budynki starożytne o pięknej, charakterystycznej architekturze.

Drobne utwory Rybkowskiego, odbijające życie wieśniaków polskich, znaczny znajdują popyt w Wiedniu. Ma on obecnie na staludze dwa drobne obrazki olejne; pierwszy „Powrót z jarmarku“ przedstawia krakusów pędzących na furze zaprzężonej czterema dzielnymi końmi; w głębi fury widzimy też kilku żydków wiejskich, wybornie oddanych. Drugi, wyobrażający przejażdżkę sankami, odznacza się nie mniejszą żywością; widzimy na nim szlachtę i wieśniaków, opędzających się strzelbami wilkom. Mimo drobniutkich rozmiarów, nietylko krajobraz posiada pełny wdzięk, lecz i postacie ludzkie tchną życiem charakterystycznem. „Dojeżdżacza ukraińskiego,“ trzymającego psy na smyczy, zamyśla Rybkowski ofiarować „Bibliotece polskiej,“ która wzbogaca się coraz bardziej dziełami artystów polskich.

Zajęty też jest przy restauracyi pałacu, który niegdyś należał do Eugeniusza Sabaudzkiego, a w którym obecnie mieści się ministeryum finansów. Pałac ten, architektonicznie wielce zajmujący, posiada w komnatach swych niesłychane bogactwo ozdób malarskich, pędzla mistrzów francuskich, włoskich i niemieckich, w stylu bądź to czysto barokowym, bądź to czysto rokokowym, bądź też przejściowym. Wysoką wartość artystyczną mają zwłaszcza groteski na tle złotem, wypełniające framugi okien i obramowania drzwi. Restaurowanie pałacu tego, wielce zaniedbanego, odbywa się z inicyatywy ministra Dunajewskiego, któremu tutejszy świat artystyczny za zasługę to poczytuje, chociażby dlatego, że wielu artystom daje zatrudnienie. Rybkowski sporządził wierną kopię czterech ścianek, wyobrażających cztery pory roku w grupach otoczonych wdzięcznemi arabeskami i charakterystycznemi emblematami i zamierza drogą reprodukcyi prześliczne te wzory uczynić przystępnymi dla kół szerszych.

Pracownia jego ozdobioną jest drogiemi materyami, wśród których znajduje się niejedna zajmująca i cenna pamiątka historyczna. Rzadko widzieliśmy tak piękny dywan indyjsko-perski, jak ów zdobyty pod Chocimem przez Drążkiewicza, ofiarowany następnie do klasztoru Bernardynów we Lwowie—obecnie zdobi pracownię Rybkowskiego. Pochodzenie indyjskie poświadczają liczne figury wielbłądów, panter i ludzi, których nie spotykamy na dywanach czysto perskich. Przepysznym jest też namiot z żółtawego jedwabiu, na którym wyszywane są ustępy z Koranu niebiesko, a w którego głębi widzimy w tej samej technice wykonaną wiązankę wielkich, kwitnących gałęzi. Namiot ten darował niegdyś sułtan Abdul-Assiz nadwornemu malarzowi swemu, Chlebowskiemu. Rybkowski oparł go na kopiach starych i ozdobił oryginalną lampą haremową.

Stwosz.

WEDŁUG BARNUMA.

Podobno nawet najznakomitsi śpiewacy nie mogą mieć wielkiego powodzenia bez impresaryów, którzy posiadają tajemnicę rozciekawiania i ściągania publiczności. Można temu wierzyć, przypatrując się występom... Sienkiewicza. Niewątpliwie jest to autor wysoce utalentowany i bez żadnej klaki tryumfy by odnosił. A jednakże wielbiciele jego osądzili, że musi mieć swoich impresaryów. Są to prawdziwe Barnumy: wysławiają go, zanim jeszcze powziął myśl napisania czegoś, wysławiają, gdy pisze, wysławiają, gdy zaczął drukować, wysławiają, gdy wydrukował. Najmniejsza i — dodajmy — najsłabsza jego praca (np. „Ta trzecia“) otrębywana jest za arcydzieło. Rodzi on tak brylanty, jak ziemia groch.

I oto znowu mamy prawdziwe Barnumowe widowisko z białym słoniem.

Słowo zaczęło drukować powieść Sienkiewicza p. t. „Bez dogmatu.“ Niech czytelnik zapamięta, że dopiero *zaczęło* i niech sobie przypomni, że najsłabszą stroną utworów tego autora jest ich psychologia. Z tą wskazówką czytajmy... w *Kuryerze codziennym*:

„*Nie przesądzając* (!) zdania krytyki, ani powodzenia tej najnowszej Sienkiewicza powieści, możemy jednak *już dziś* twierdzić, iż będzie ona wypadkiem literackim nietylko najświeższym, *ale i najgorętsze dyskusye wywołującym.* Zaciekawia bowiem nietylko współczesnością tematu, *ale jego wyborem i formą.*

Jest to pamiętnik, a raczej dziennik Leona Płoszowskiego. Formę dziennika (każdy przyzna, że chyba najniewdzięczniejszą ze wszystkich form powieściopisarskich) obrał autor *z umysłu, jakby dla pokazania, że i nad nią potrafi zapanować* i że ją, tak oporną, monotonną i tyle fachowych trudności nastręczającą, nagiąć potrafi, *dowodząc, że pod piórem artysty wszelka, choćby najtwardsza, stanie się podatną.*

„Bez dogmatu,“ to przedewszystkiem powieść psychologiczna w rodzaju chyba dotychczas u nas *nieznanym*, rzecz, która *niewątpliwie odrazu wywoła niezmiernie gorące dyskusye ustne*, a następnie po ukazaniu się *powódź krytyk, polemik i rozpraw.*

Zapewne wywoła także i *naśladownictwa* i to właśnie najniebezpieczniejsza jej strona. Po nowelkach mieliśmy *setki* „Janków muzykantów,“ kradnących już nietylko przez „miłość dla sztuki“ — skrzypce, lecz „przez miłość dla mechaniki“—zegarki. „Ogniem i mieczem“ otwarło *śluzy powieści historycznej.* Teraz „Bez dogmatu“ przyśpieszy naszemu powieściopisarstwu — prawdopodobnie *legiony psychologów...*“

Ile w tem jest „nieprzesądzania zdań krytyki“ i prawdy — zwłaszcza w owych „śluzach powieści historycznej“ — czytelnik sam sobie odważy:

*
* *

A teraz obejrzmy barnumizm z innej strony. W *Kraju*, który ma wspólną obsługę, wspólny inwentarz, wspólnych rządców z *Kuryerem codziennym* i w którym te same duchy straszą, tak prawi ktoś o wydanym przez Spółkę Nakładową pierwszym tomie *Wyboru pism* Heinego:

„Rzecz dziwna, że komitet redakcyjny nie zdobył się na coś lepszego, niż przedruk *znanych* przekładów A. Kraushara z dodatkiem tak *mikroskopijnej* dozy doskonałych tłomaczeń Konopnickiej. Już jeżeli się przystępowało do wcale poważnego zadania, trzeba było zadać sobie więcej fatygi i stworzyć rzecz istotnie cenną i trwałą. *Całe przedsięwzięcie chybione i należałoby rzecz rozpocząć na nowo...*“

Naprzód zbadajmy prawdę. Przekłady Kraushara nie są „znane“ i nie „przedrukowane,“ gdyż wiele z nich tłomacz dodał nowych, a przerobił dawnych. Oprócz jego, są tłomaczenia nietylko Konopnickiej. „Dodatek“ jej nie jest „mikroskopijny,“ gdyż zawiera 46 stronic.

Następnie logikę. Ponieważ zamieszczono głównie przekłady Kraushara, który najwięcej ze wszystkich tłomaczów poświęcił talentu i sił Heinemu, i dodano prace Konopnickiej, Kościelskiego i Mirona, więc... „całe przedsięwzięcie chybione i należałoby rzecz rozpocząć na nowo.“

Wniosek: W tej „nowej rzeczy“ trzeba naturalnie pomieścić przekłady... Cześnika (on wyrokował w *Kraju*), a przynajmniej jednego z długowłosych, których *Kraj-Kuryer codzienny* posiada w obfitym zapasie. Wtedy otworzą się „śluzy“ — Barnuma.

H.

POEZYA.

SAWANTKA.

W swym wytwornym buduarze,
Od światowych zdala burz,
Ona siadła na kozetce,
A ja przy niej siadłem tuż...

Na różanych tam stoliczkach
Widniał wielki stos dzienników,
A za szybą biblioteczną
Wyzłoconych rząd klasyków.
Przy okienku zgrabne biurko
I papieru na niem moc:
Tu poważne artykuły
Pisywano dzień i noc.
A sawantka owa młoda
Miała główkę fryzowaną
I na piersi wpiętą różę,
Żółtą różę herbacianą...
Jako krytyk, siadłem zblizka,
Wytężywszy mocno słuch,
A przede mną defilował
Ten zaprawdę świetny duch!
I głosikiem perełkowym
Wysypywał wiadomości,
Bez zająknięć przebiegając
Wszystkie wieki uczoności;
I wyrzucał szereg nazwisk,
Jakie tylko kto z was chce:
Wolter, Spencer, Galileusz,
Plato, Buckle i Kon-fu-tse...
Biedna myśl ma ledwie mogła
Śledzić owe wszystkie zmiany, —
Tak niezuośnie mi przeszkadzał...
Zapach róży herbacianej.
— O! pan, widzę, nie uważasz...
— „Ależ, pani, Boże broń!..
„Tylko... tylko... ja tak lubię
„Herbacianej róży woń!
„Gdybym mógł choć raz powąchać!
„To nawyknień dawnych szczątek..."
— A więc dobrze, ale prędzej
Bo utracę myśli wątek."
Więc schyliłem do jej piersi
Rozmarzoną moją skroń
I wciągnąłem z całej siły
Herbacianej róży woń!..
Lecz ta róża herbaciana
Wnet jej dała przedmiot nowy;
Z assocyacyi Chin z herbatą
Temat wysnuł się gotowy:
Chiny... Persya... Zoroaster...
Duch światłości, cieniów duch...
Potem Indyo, Ramajana
Neo-buddaizmu ruch,
Schopenhauer, Leopardi,
Goethe, Hoffman, Hoffmanowa,
George-Sand, Brandes, Taine i Bourget
Wreszcie „Dama Kameliowa..."
A mówiła to tak żywo,
Opuszczając, wznosząc dłoń, —
A ja czułem wciąż drażniącą
Herbacianej róży woń...
I bawiłem wzrok swawolny
Owej róży kołysaniem,
Co wznosiła się, spadała
Wraz z jej piersi oddychaniem.
Potok słów mi dźwięczał w uchu,
Rozumiałem tylko wpół:
Zapach róży herbacianej
Tak uwagę moją skuł!
Pochyliłem tylko głowę,
Jakbym był odurzon trunkiem,
I prelekcyą zachwycony
Pożegnałem ją z szacunkiem,
I uniosłem z tej rozmowy
Rozpaloną mocno skroń
I — z przypiętej do jej piersi
Herbacianej róży woń!..

L. Blumental.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Śmierć Żółkowskiego. — Co po sobie zostawiają aktorzy i co on zostawił. —Skutki tegorocznego nieurodzaju. — *Hodowca* na kazalnicy. — Zły adres nagany. — Drobne sprostowanie. — Doświadczenia hypnotyczne na widowiskach publicznych.

Od śmierci Żółkowskiego duch jego przez tydzień nie opuszczał prawie kolumn prasy warszawskiej. Niektóre pisma poświęciły mu całe numery, inne wydobyły o nim wszelkie wspomnienia. Wydobyto nawet jego skromny dzienniczek, w którym zapisywał jedynie każdotygodniowy repertuar, swoje w nim role, oklaski i wywoływania w teatrze, z sakramentalnym przy każdej notatce dodatkiem: „chwała Bogu." Życie Żółkowskiego bogatem w wypadki nie było, po za fenomenalnym talentem aktorskim natura żadną wybitną zdolnością go nie obdarzyła, ani więc owe wspomnienia, ani jednostajny dzienniczek, ani zebrane w dwu pismach dwa chóry jego kolegów i koleżanek — wielkości jego nie podniosły, a nawet o niej nie zaświadczyły. Ostatecznie podstawą tej wielkości jest dziś pamięć a będzie później tradycya, przyznająca mu olbrzymią i zasłużoną sławę. Późniejsze pokolenia, które muszą przyjąć ją na kredyt sądu współczesnych, mogą istotnie żałować, że go nie widziały i że nie będą miały o nim żadnego wyobrażenia. Powtarzam: żadnego, gdyż jakkolwiek K. Zalewski (w *Kur. warsz.*) nazywa zdanie: że po aktorze nic nie pozostaje— „brednią" i dziwi się, „jakim sposobem przy najskromniejszej nawet inteligencyi można powtarzać coś tak nielogicznego" — zdanie to posiada wiele słuszności a wobec Żółkowskiego jest ono prawie niewzruszonem. Bo przedewszystkiem posiadał on indywidualność zbyt wybitną i odrębną, ażeby mógł stworzyć „szkołę" — przynajmniej ja jego odbicia w nikim nie dostrzegłem. Był to wysokiej sumy pieniądz, nierozmieniony na drobną monetę. Ale przypuściwszy nawet, że znakomici aktorzy istotnie tworzą szkoły i że dzięki Żółkowskiemu „mamy swoją własną;" jakąż nieważką odrobiną jest jego wpływ w porównaniu z jego wartością! Grosz lub rubel, chociaż zawiera w sobie cząstkę miliona, nie daje o nim pojęcia. Nie dają go wszystkie szkoły i wpływy o Racheli lub Garricku tym, którzy ich nie widzieli. Apelles był znakomitym malarzem i prawdopodobnie oddziałał na malarstwo Grecyi; ale ponieważ wszystkie jego obrazy zaginęły, czy ma o nim ktoś nawet przybliżone wyobrażenie? Jego sława brzmi i długo zapewne brzmieć będzie, ale od dwu tysięcy lat ludzie powtarzają tylko jej echa z wiarą a bez przekonania. Jeżeli obok fonografu, który zachowuje głos, wynaleziony zostanie przyrząd, który zachowa i odtwarzać będzie postać, ruchy i mimikę aktorów, wtedy będzie można mówić o ich trwaniu w sztuce po śmierci — dotąd wszakże jest to tylko bardzo fantastyczne marzenie.

Po Żółkowskim pozostała „szkoła." Dlaczegoż więc jednocześnie słyszymy, że nikt nie odważy się podjąć ról przez niego grywanych? Przecież powinni to zrobić jego „uczniowie." Niestety, on uczniów nie miał i nie zostawił. Był to artysta jedyny w swoim rodzaju i dlatego zeszedł ze sceny bardziej bezpłodnie, niż wielu innych. Może ukaże się jego przypadkowy potomek w odległych pokoleniach, ale tymczasem go niema. Posiadamy jeszcze aktorów bardzo utalentowanych, ale oni nie zdradzają żadnego pokrewieństwa z Żółkowskim, należą do innych gatunków, czy szkół. Jakkolwiek ta myśl jest przykrą, musimy się z nią oswoić i wyznać, że po tym artyście pozostały nam tylko — wspomnienia. Czarodzieje u ludów dzikich, gdy w jakiemś bożyszczu siedzi duch bardzo duży, zapomocą odpowiednich sztuk religijnych dzielą go i jego cząstki przenoszą w inne figury. Byłoby bardzo pożądanem, ażeby jakiś czarodziej dokonał tej operacyi z duchem Żółkowskiego; wydaje mi się to jednak niemożliwem.

* * *

W roku bieżącym, w roku klęski nieurodzajowej byłaby oszczędność bardzo właściwą. Gorzkie żale naszych ziemian wymagają prawie zawsze odcedzenia z wody zwykłych narzekań, ale obecnie można im wierzyć dosłownie. W większości gospodarstw plony albo zupełnie przepadły, albo zaledwie wystarczają na zasiew. Niektóre też dwory rozpuściły czeladź, a zarówno posiadacze folwarków, jak i włościanie wyprzedają inwentarz, którego nie mogą przezimować. Według korespondenta *Gazety warszawskiej* z Lublina, na rynku tamtejszym cena dobrych krów i koni spadła do kilkunastu rubli, a w Janowskiem sprzedawano podobno konie po trzy ruble i po rublu. Dla opłacenia więc jednego miejsca na koncercie Kochańskiej trzeba by sprzedać nieraz sześć koni. Wobec tej klęski musi umilknąć waśń między własnością drobną a wielką, między szlachetczyzną a nieszlachetczyzną, pozostaje tylko współczucie dla nieszczęścia.

Przed kilku tygodniami poznajomiłem czytelników moich z kłopotami finansowymi Towarzystwa oczyszczania spirytusu, które zamknęło swój bilans ze znacznemi stratami i w którem bardzo energicznie odezwały się żądania likwidacyi. W chwiejącą się instytucyę uderzyła bombą *Gazeta losowań*, której strzał powtórzyła *Gazeta rolnicza*. Należy to do pewników matematycznych, że ile razy *Gazeta rolnicza* powie czarno, *Hodowca* krzyknie biało. Więc i w tym wypadku nie ominął on sposobności wytarcia swego komina i usmolenia współzawodniczki sadzami, w których mogą się znajdować wszelkie pierwiastki, ale ani ździebełka... konkurencyi. *Hodowca* bowiem szczególniej brzydzi się takiem czernidłem. On tylko doznał „najboleśniejszego wrażenia," że *Gazeta rolnicza* „na naczelnem miejscu" przedrukowała artykuł *Gazety losowań* (organ „kliki nieprzyjaznej *wszelkim* stowarzyszeniom *rdzennie* krajowym," wywołujący strachy „sztuczkami konkurencyjnemi"), a tej boleści nie złagodziła mu nawet ona powtórzeniem odpowiedzi Towarzystwa i wyznaniem zupełnej do niego ufności. Jak widzimy, rany *Hodowcy*, zwłaszcza zadane przez *Gazetę rolniczą*, nie goją się łatwo, chociaż ich nie rozdrażnia wpływ „konkurencyi." Spróbujemy jednak na ostatnią przyłożyć uśmierzający plaster. Przypuśćmy, że *Gazeta losowań* jest organem „kliki," pragnącej „podporządkować instytucyę swej władzy autokratycznej (sic!)," że *Rolnicza*, zamiast służyć, podkopuje moralny i materyalny kredyt ziemiaństwa, że inne pisma „kłamliwymi argumentami (sic!) rozbudzają niechęć i walki stronnicze w narodzie," że *Hodowca* hoduje wszystkie cnoty obywatelskie; niechże nam raczy odpowiedzieć, dlaczego nie wylał swego kubełka na głowy tych członkow Towarzystwa, którzy *pierwsi* zwątpili o powodzeniu przedsięwzięcia i zażądali likwidacyi? Przecież to oni naprzód rzucili „popłoch," zanim jeszcze nad instytucyą ukazały się kruki dziennikarskie. Mowy tych pesymistów podważały ją równie silnie, jak wywody *Gazety losowań*. Jeżeli ktoś w miejscu licznego zebrania ludzi wznieci fałszywy alarm i narazi ich na niebezpieczeństwo, czy on powinien być ukarany, czy ci, którzy za nim krzyczeli: gore! Dodać zaś trzeba, że w obecnym wypadku alarm nie był wcale bezzasadny, bo chociaż ogień nie ogarnął budynku, ale się wszczął. Niema więc żadnego powodu do rozdzierania szat, boleści, wymysłów i krzywdzących posądzeń, ale co najwyżej do sporu przedmiotowego i krytyki beznamiętnej. Jeżeli *Hodowca* błędnym twierdzeniom może przeciwstawić zasadne, złym wróżbom — pomyślne, niech z niemi występuje — i owszem, będziemy go chętnie słuchali; ale niech nie usiłuje przechylić ku sobie szali rozpraw, kładąc na nią obelgi dla przeciwników, bo one wcale nie ważą i — od szali się nie odlepiają. Ani *Gazeta losowań* nie jest organem kliki „nieprzyjaznej wszelkim stowarzyszeniom rdzennie krajowym," ani *Rolnicza* nie jest zdrajczynią interesów ziemiańskich, ani in-

ne pisma (które *Hodowca* ma na myśli) nie „rozbudzają kłamliwymi argumentami niechęci i walk stronniczych w narodzie.“ To fakt pewniejszy, niż nawet przyszłość Towarzystwa oczyszczania spirytusu.

Do Warszawy przyjechał p. Czyński, autor dziwacznych książeczek, których jedna tylko bibliografia wyrzec się nie chce, bo nie może, z zamiarem urządzenia przedstawień hypnotycznych. Otóż dr. Zawadzki występuje w *Kuryerze warszawskim* przeciwko tego rodzaju widowiskom, twierdząc, że są one „wysoce demoralizujące.“ Czy tak? Pytanie to można wyrazić ogólniejszem, mianowicie: czy widoki szpitala lub pracowni fizyologicznych powinny stanowić galeryę obrazów publicznych? Uczeni całego świata odpowiedzieli przecząco, a niedawno francuzcy oświadczyli się przeciwko publicznym okazywaniom skutków hypnotyzmu. Bo istotnie nie różnią się one od innych doświadczeń lekarskich — od chloroformowania chorych i robienia im operacyj, od wiwisekcyj itp. Nie ulega zaś żadnej wątpliwości, że przedstawianie ogółowi takich drażniących obrazów podnieca go niezdrowo, może stać się przyczyną ciężkich zaburzeń w organizmach nerwowych i pociągu do prób bezcelowych, a szkodliwych. Po występie Donata mieliśmy setki Donatów, którzy hypnotyzowali wszędzie i kto tylko im się poddał. O ile w tej sprawie zainteresowaną jest nauka, nie będzie ona swych badań prowadzić na estradach publicznych i żadnej propagandy nie potrzebuje. Doświadczenia tedy hypnotyczne powinny zamknąć się w szpitalach i pracowniach naukowych, a z pola igrzysk całkiem ustąpić. Jest to koniecznem a nawet naglącem, bo ta zabawka trwa już zbyt długo a wyrządza szkody zbyt wielkie.

Posel Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uwaga. Z powodu obfitości materyału bieżącego i potrzeby wydrukowania niektórych artykułów przed nowym rokiem, z dzisiejszego numeru musieliśmy usunąć odcinek powieściowy.

Influenza, według jednych nowa choroba, według drugich niebywała, według innych znana pod nazwą *grypy*, grasuje epidemicznie w Petersburgu i prawdopodobnie przyjdzie do nas. Objawia się: mocnym katarem, bólem głowy i ogólnem omdleniem. Jest podobno niegroźną i przechodzi szybko.

Dla dzieci. Książki gwiazdkowe już rozpoczęły swój doroczny pochód. Jedna z lepszych jest odznaczona na konkursie *Przeglądu pedagogicznego* powieść p. M. Grzymała-Zielińskiej, p. t. *W szkole życia*, z ilustracyami Pillatiego. Utwór ten (wychodzący w drugiem wydaniu) budzi lub wzmacnia wiele uczuć szlachetnych.

Koncert na rzecz niezamożnych studentów warszawskiego Instytutu weterynaryjnego odbędzie się w dniu 15 b. m. pod dyrekcyą Z. Noskowskiego z udziałem: p. Romany Popiel-Święckiej, panny Patini (śpiew), panny Vetrovini (skrzypce), p. Wąsowskiej (fortepian), pp. Szymanowskiego, Chodakowskiego i chórów Tow. muzycznego.

Zjazdy. W Warszawie, Kijowie, Sebastopolu, Odessie, Saratowie, Niżnym-Nowgorodzie i innych ogniskach przemysłu młynarskiego odbyć się mają miejscowe zjazdy młynarzy, na których powzięte uchwały pójdą pod obrady zjazdu ogólnego w Moskwie w lutym r. p.

— W Petersburgu d. 2 b. m. odbył się zjazd techników 3-ej grupy kolei żelaznych, w którym przyjęła udział droga Nadwiślańska.

Narady. Na posiedzeniu grupy techników p. Stef. Szyller mówił o naglącej potrzebie dobrze urządzonych rzeźni w Warszawie. Według projektu, koszta tys wynosi 2 i pół mil. rs.

Zreformowane instytucye sądowe otwarto w gub. estlandzkiej.

Towarzystwo artystów małoruskich, bawiące obecnie w Lublinie, zjeżdża do Warszawy i dawać będzie przedstawienia w jednym z teatrzyków prywatnych.

Wiadomości administracyjne. *Now. Wr.* donosi, iż istnieje projekt zreformowania w Królestwie Polskiem policyi wiejskiej i miejskiej na wzór Cesarstwa.

— Ma być wkrótce urzeczywistniony projekt ministeryum sprawiedliwości co do uproszczenia postępowania sądowego w sprawach cywilnych, opartych na nieulegających wątpliwości dokumentach.

— Senat orzekł, iż wszystkie sądy gminne obowiązane są na przyszłość prenumerować miejscowe *Gubernskija Wied.* oraz *Senatskija Wied.*

— Ustanowiony reskryptem z d. 5 października 1864 r. podatek 10-rublowy od szlachty polskiej, starającej się o przywrócenie sobie praw szlacheckich, wynosi rocznie przeszło 5,000 rs.

Wystawy. Przedstawiciele handlu i przemysłu czynią starania o urządzenie w Petersburgu powszechnej z całego państwa wystawy przemysłowej.

— Między 17 a 20 (st. s.) b. m. przy zjeździe techników i przedstawicieli nauczania zawodowego otwartą będzie wystawa. Nadsyłać przedmioty można do 13 b. m.

— Wystawę rzemieślniczą w Warszawie postanowiono otworzyć 1 marca r. p.; deklaracye są już przyjmowane.

— Komitet, urządzający w r. p. powszechną wystawę koni w Berlinie, przeznaczył 86,000 marek na nagrody.

— Wystawa rolniczo-leśna odbędzie się w Wiedniu od 15 maja do 15 października 1890 r. Wystawcy z naszego kraju są dopuszczani do następujących działów: 1) drób i psy; 2) maszyny i narzędzia rolnicze, leśne, tudzież wszelkie maszyny z działu przemysłu, narzędzia ogrodnicze, łowieckie, rybackie, pszczelnicze i jedwabnicze; 3) środki pomocnicze do gospodarstw; 4) modele, plany, rysunki i wszelkie dane statystyczne, dotyczące rolnictwa i leśnictwa. Nagrody w dyplomach uznania, medalach złotych, srebrnych, bronzowych, w gotówce i listach pochwalnych. Bliższe wiadomości: dr. Sempołowski, Krakowskie Przedmieście nr. 6.

Kasy oszczędności przy urzędach pocztowych w Królestwie Polskiem mają być zaprowadzone z początkiem roku przyszłego.

Za kalectwa. Pisma petersburskie donoszą, iż istnieje projekt opracowania przepisów, określających normę wynagrodzenia za kalectwa robotników fabrycznych.

Konkurs na napisanie dobrego opowiadania dla dzieci ogłosiło petersburskie Towarzystwo froeblowskie.

Literatura. Tygodnik londyński *Graphic* od stycznia r. p. zacznie wydawać dziennik p. t. *Daily Graphic.*

— Pismo dla narzeczonych (!) zaczęło wychodzić w Wiedniu.

— W Paryżu wyszła praca Leona Winiarskiego „Stosunki społeczne w Anglii.“

— W Belgii wychodzi ogółem 872 czasopism.

Szkoły. Na posiedzeniu sek. IV warsz. Tow. popierania przemysłu i handlu obradowano w dalszym ciągu nad typami szkół. Niezależnie od ogłoszonej ustawy rządowej dla szkół rzemieślniczych, uznano potrzebę: 1) szkół początkowych, gdzieby oprócz czytania i pisania wprowadzono rysunki i rachunkowość; 2) szkół dopełniających termin w kierunku: a) rzemiosł mechanicznych, b) chemicznych, c) budowlanych; 3) szkół estetycznych rysunkowych.

— W gub. radomskiej projektowane są: w Końskich szkoła średnia górniczo-techniczna, w Sandomierzu rolniczo-techniczna, w Radomiu średnia rzemieślnicza o trzech specyalnościach.

— Zatwierdzono ustawę dla niedzielnej szkoły handlowej w Kielcach.

— W Akademii lekarsko-wojskowej w Petersburgu ze 140 złożyło w tym roku egzaminy 85 studentów.

— Minister oświaty polecił kuratorom okręgów naukowych opracowanie programów oddzielnie każdego przedmiotu, wykładanego w szkółkach elementarnych. Chodzi głównie o ujednostajnienie programów.

— Ministeryum oświaty w Prusach pracuje nad nowymi przepisami egzaminacyjnymi dla lekarzy. Będzie położony wielki nacisk na znajomość anatomii i fizyologii.

Cło. Ministeryum skarbu przedstawiło Radzie państwa wniosek oclenia w ilości po 200 rs. w złocie od puda platyny nieobrobionej, wywożonej za granicę. Nigdzie jej tyle niema, co w górach Uralskich, a jednak ogromne składy wyrobów platynowych istnieją w Anglii, a nie w Rosyi.

Kolej żelazna od Chełma do Tomaszowa przez Hrubieszów ma być budowaną na przyszłą wiosnę. (*Kur. codz.*).

Przemysł. Hodowcy owiec w gub. południowych zawiązują w Petersburgu stowarzyszenie fabryki przędzalnej, któraby wyprawiała za granicę wełnę czesankową i przędzę bez pośrednictwa osób trzecich (przekupniów), zwykle mieszających wełnę lichą z dobrą, skutkiem czego handel wywozowy towaru powyższego słabnie z rokiem każdym.

— Ministeryum spraw wewnętrznych uznało za potrzebne osuszyć kopalnie cynku w zachodnim okręgu Królestwa Polskiego, oraz sam zakład tych kopalni przenieść na inne miejsce i lepiej go urządzić, na co się przeznacza 237,000 rs.

— Pewna grupa kapitalistów zakłada bank drobnego kredytu, któryby udzielał pożyczek nie wyższych nad rs. 100.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało projekt, według którego mają być wydawane nagrody za najlepiej wypraną i wyczesaną wełnę.

— W Królewcu otwarto agenturę zbożową kolei Południowo-Zachodnich. Zadaniem jej jest sprzedaż i magazynowanie nadesłanego zboża, oraz udzielanie zaliczeń.

Zmarli. Ernest Lefèvre, redaktor naczelny *Rappel* i b. wice-prezydent izby poselskiej w ostatniem czteroleciu, w Paryżu.

— Robert Whelan-Dryle, w Londynie, naczelny redaktor *Daily Chronicle.*

— August Havas, w Paryżu, stojący na czele znanej w całym świecie agencyi telegraficznej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu St. Br. w Warszawie. Wszystko to, co się w duszy bohatera dzieje i co go gubi, jest psychologicznie nieusprawiedliwionem i niezrozumiałem.

Panu J. P. Niestety, zepsucie i haniebny zawód śród dziewcząt, które zaledwie dziećmi być przestały — to zjawisko w życiu miast wielkich bardzo zwyczajne.

Inż. Jask. Jest to przedmiot do naszego pisma za zbyt specyalny.

Panu. W. S. Tego rodzaju znęcanie się nad własnem dzieckiem jest potwornością moralną. Ponieważ jednak w dramacie przy ul. Złotej tkwi jeszcze obciążający winnych akt wypadnięcia biednej ofiary z 2-o piętra na ulicę, dotąd należycie niewyjaśniony, więc nie chcąc uwagami naszemi przekraczać istotnych granic występku, wstrzymujemy się z przedstawieniem go aż do rozprawy w sądzie.

Pani A. C. Drukować już nie możemy; przekład dobry.

H. M. 1) Spasowicz, Ptaszycki i inni; 2) do kuratora okręgu naukowego; 3) Sienkiewicz — Zakopane, Orzeszkowa — Grodno; adresu Rodziewiczówny nie znamy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Ogłoszenia.

Najwyżej zatwierdzone

Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia na życie

„NEW-YORK“

(NEW-YORK LIFE INSURANCE COMPANY),

założone w 1845 roku,

Kapitał Gwarancyjny, najzupełniej zrealizowany, wynosił w dniu 1-ym Stycznia 1889 r.:

Rs. 183,595,086.

Towarzystwo złożyło do Banku Państwa rs. 500,000 tytułem kaucyi (w listach pożyczki wewnętrznej z r. 1887, wartości nominalnej **600,000 rs.**).

Towarzystwo **wpłaca miesięcznie** do Banku Państwa **30% ogólnej sumy składek**, otrzymanych z ubezpieczeń, w Cesarstwie i Królestwie zawartych; zaś w końcu roku, po dokładnem obliczeniu funduszu rezerwowego, Towarzystwo dopłaca resztującą kwotę.

Fundusz Gwarancyjny i Zyski, są *WYŁĄCZNĄ WŁASNOŚCIĄ* ubezpieczonych.

Wypłata ubezpieczonych kapitałów następuje albo w Dyrekcyi Głównej na Rossyę w Petersburgu, Newski Prospekt 26, albo w Oddziale Warszawskim, lub też przez agenta miejscowego.

Aresztów na polisy Towarzystwo nie przyjmuje.

Czynności Towarzystwa w Cesarstwie i Królestwie **podlegają** ustawicznej **Kontroli Rządowej.**

Wszelkich objaśnień udziela **Biuro Towarzystwa w Warszawie, Plac Saski Nr. 5.**

DYREKTOR Głównego Oddziału na Królestwo Polskie i Kraj Zachodni

K. RADKIEWICZ.

ΟΙΝΟΣ ΕΛΛΗΝΙΚΟΣ

Wina Greckie

znakomitej dobroci w 6-ciu gatunkach.

Skrzynki **po 12 Butelek** w cenie **Rs. 10 kop. 80** wysyłają do wszystkich stacyj w Królestwie franco.

Bracia Kempnerowie, Długa, 5.

SPECYALNA FABRYKA

Filcowych Kapeluszy i Czapek męzkich

oraz Magazyn Galanteryi

S. SPIRO

Bielańska, Nr. 7.

Sprzedaż hurtowa: Nowolipie Nr. 15.

Najnowsze Książki

Czytelnia K. PASZKOWSKIEJ

14, Chmielna, 14.

BINOKLE, OKULARY, LORNETKI

w wielk. wyborze i najlepszym gatunku

☞ o 25% taniej ☜

W MAGAZYNIE OPTYCZNYM **JULIANA DREHERA,** — Szpitalna 6.

Obstalunki z prowincyi za Nachname.

Czytelnia dla Kobiet

36, Nowy-Świat, 36,

Wybór Książek Naukowych

i Beletrystycznych.

S. Hiszpański

Szewc męzki i damski.

poleca glazurę i lakier do obuwia męzkiego i damskiego. Lakier używanym być może do obuwia szuwaksowego, następnie zmywanym do powtórnego szuwaksowania lub lakierowania. Jako produkt dostawcy dworu Królowej angielskiej, wymaganym jest za granicą przez najwyższe sfery, jak i osoby praktyczne a eleganckie. **Bielańska, 6.**

F. Drechsler

Warszawa, Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250.

BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

Wielki Zakład Fotograficzny

ŚWIETLIK

7, Krakowskie-Przedmieście, 7.

Powszechnie uznane artystyczne portrety po 2 rs. tuzin.

MAGAZYN I FABRYKA WYROBÓW JUBILERSKICH

M. MANKIELEWICZ,

W GMACHU TEATRU POD FILARAMI

Magazyn posiada stale na składzie bogaty wybór Brylantów, Szafirów, Rubinów i Pereł nieoprawnych, wielki wybór Biżuteryi brylantowej, złotej i srebrnej; najgustowniejsze i jedyne w swoim rodzaju **srebrne** Papierośnice, Zapalniczki, Noże do papieru, Rączki do lasek, Puhary, Kubki, Ecritoiry, Ołówki, Obsadki do piór i t. p.

Fabryka wykonywa najwytworniejsze obstalunki w zakres jubilerstwa, złotnictwa i grawerstwa wchodzące, ku czemu posiada bogaty assortyment rysunków i modeli.

Specyalność: **Albumów** pamiątkowych od skromnych do najwytworniejszych, oraz Papierośnic i t. p. przedmiotów, bogato dekorowanych złotem, srebrem i emalią.



Na podarki

Nowości na 1888/90 r.

Arytmetyka w obrazkach.—Choinka z rachunkami. Kwiaciarka. Modniarka. Wieża Eiffla. Przystrajanie obrazków. Maszynka do szycia. Wyścigi z przeszk. 7 gier towarz. Kalendarzyk obrazkowy na r. 1890. **Kolor. tablice poglądowe.**

Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie

poleca nowe nadzwyczaj tanie wydanie

POEZYJ

ADAMA MICKIEWICZA

W 4-ch TOMACH,

poprzedzone życiorysem skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego i ozdobione portretem autora rysunku Horowitza.

Sprzedaje się we wszystkich księgarniach miejscowych i na prowincyi.

Cena 4-ch tomów **kop. 80,**

w oprawie ozdobnej w płótno angielskie **rs. 1 kop. 50.**

Za przesyłkę w obrębie Królestwa po kop. 20, w guberniach bliższych Cesarstwa po kop. 40, a w dalszych po kop. 60 od egzemplarza dołączać należy.

GEBETHNER I WOLFF

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Największy w Kraju

SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN

Wynajem instrumentów.



Wynajem instrumentów.

☞ SPRZEDAŻ NA RATY. ☜

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Ноября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.